N. 50. WARSZAWA d. 4 (16) Grudnia 1871 ROKU.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. —w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Od Redakcji.

Tygodnik Mód i Powieści w roku przyszłym 1872 wychodzić będzie w tym samym jak dotąd formacie i pod temi samemi warunkami co do obniżenia ceny prenumeracyjnéj. Po ukończeniu drukujących się dwóch powieści J. I. Kraszewskiego i Dickensa, rozpoczniemy nowe oryginalne: p. Elizy Orzeszkowéj, Walerji Marrené (Morzkowskiéj) J. I. Kraszewskiego, J. Zacharjasiewicza, Lisickiego i innych, których współudział mamy stale dla pisma naszego zapewniony. Z powieści tłomaczonych pomieścimy: **Miłość dziewicy** w przekładzie pani Joanny Belejowskiéj i **Zagadkowe natury** Fr. Spielhagena spolszczonéj przez M. Gliszczyńskiego.

Wszyscy nowi prenumeratorowie dodatki z rozpoczętemi w tym roku powieściami, otrzymają za zgłoszeniem się do Redakcji bezpłatnie.

Cena prenumeraty obniżona wynosi:

W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.

Na prowincji tak w Cesarstwie jak Królestwie z przesyłką pocztową:

Kwartalnie	rs. 2 kop.	—
Półrocznie	„ 4 „	—
Rocznie	„ 8 „	—

Upraszamy o wyraźne wypisywanie nazwisk i ostatniéj stacji pocztowéj, jak również o przysyłanie należytości wprost do Redakcji pod adresem: do J. K. Gregorowicza Redaktora Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Żabia Nr. 956 (nowy 6).

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

Wychodzi co tydzień w formacie mniejszego arkusza z dodatkiem półarkuszowym, który w jednym tygodniu obejmuje powieść większych rozmiarów, a w drugim przeznaczony jest wyłącznie dla młodszéj dziatwy, zaczynającéj i kończącéj dopiero naukę czytania. Reszta zaś wydawnictwa służy dla panienek i chłopczyków już stałéj oddanych nauce. W obu tych częściach redagowanych odpowiednio do swego przeznaczenia, mieszczą się: powieści i powiastki, obrazy historyczne, artykuły naukowe, wiadomości z przemysłu; nowe wynalazki i odkrycia, podróże, życiorysy różnych znakomitości, poezje, bajki, zagadki, myśli, anegdoty i t. p.

Ponieważ w kwartale czwartym r. b. 1871 rozpoczęte zostało w dodatku opowiadanie p. t. *Indjanie i Chińczycy*, przygody dwóch młodych podróżnych, które dopiero w r. 1872 ukończone zostanie, wszyscy zatem **nowi Prenumeratorowie**, za zgłoszeniem się do Redakcji, **otrzymają dodatki** obejmujące początek téj powieści *bezpłatnie*. Po ukończeniu jéj rozpoczniemy OPOWIADANIA HISTORYCZNE sposobem powieści ułożone według angielskich pisarzy: w dodatku zaś przeznaczonym dla mniejszych dzieci, ogłaszać będziemy stosowną illustracją dalsze podróże Krzysztofa Kolumba, z których pierwsza już tak bardzo zajęła czytelników Przyjaciela Dzieci.

Zniżona cena prenumeraty wynosi:

W WARSZAWIE kwartalnie kop. **75.**

NA PROWINCJI tak w Cesarstwie jak Królestwie z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. **1**, — półrocznie rs. **2**, — rocznie rs. **4**.

Prenumerować można w Warszawie: we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism perjodycznych. W Cesarstwie i Królestwie najlepiéj za pośrednictwem Redakcji, przesyłając należytość pod adresem: wskazanym dla prenumeratorów Tygodnika Mód i Powieści.

PIOTR PAWEŁ RUBENS

POD WZGLĘDEM

RELIGIJNYM I FILOZOFICZNYM

ZE WSPOMNIEŃ

EMILA MONTÉGUT

PRZEKŁAD

Amelji Wejnert.

(Dokończenie).

Najświętsza Panna i Ś. Jan są pogrążeni w niemej boleści. Najgłówniejszą tutaj postacią jest Magdalena. Złamana boleścią pochyliła się do stóp krzyża, a z pięknych blond włosów, któremi niegdyś ocierała balsamy z nóg Chrystusa, spływa teraz krew sącząca się z tych nóg. W owéj chwili żołnierz podobny z surowéj i ogorzałéj twarzy do hiszpańskiego bandyty, podnosi włócznię chcąc przebić bok Jezusa. Magdalena widząc ten gest, siłą boleści podnosi się i z rozpaczną energią wyciąga ręce z krzykiem. Zdaje się, że wyraźnie słyszymy wołanie młodéj kobiety. Trudno opisać ile jest uczucia i wzniosłéj miłości w tym objawie boleści. Ta dramatyczność przechodzi samą siebie w małym tryptyku w muzeum antwerpskiem, przedstawiającym *Chrystusa na słomie*, który jest prawdziwym *pendant* do zapalczywego *Biczowania* w kościele Ś. Pawła. W tym tryptyku już jest po haniebnéj karze, a zbroczony Chrystus leży wyciągnięty na tapczanie, będącym zdawna łożem nędzy i zbrodni. Przerażenie posunięte do najwyższego stopnia ogar-

nia na widok, jak delikatne ciało Chrystusa jest okropnie zsieczone. Tak samo je malarz przedstawił w *Biczowaniu*, tylko że tam Chrystus jest stojący smagany. Patrząc na to delikatne ciało, śliczne porównania Pisma przychodzą na pamięć; nasuwa się bowiem myśli piękna lilia Jessego lub kwiat bez zmazy, a to alegoryczne przypomnienie zmiękczające serce, przemienia zgrozę w rozczulenie. To tylko jednak jedna część téj wzruszającéj sceny. Rzuć okiem na lewe skrzydło ołtarza gdzie Rubens umieścił najsłodsze i najstraszniejsze przeciwstawienie swego środkowego obrazu, to jest Dzieciątko Jezus na kolanach Najświętszéj Panny. Czyż to są ustępy jednéj i téj saméj historyi? Czyż to szczęśliwe dziecko bawiące sie stojący na kolanach matki i obsypane przez nią pieszczotami, dojdzie do tych nieopisanych okropności, do tego zbroczonego tapczanu w środkowym obrazie? Tym razem przejęte boleścią serce i oczy szukają innego widoku, coby wycisnął łzy wywołane przez mistrza. Żaden malarz nie potrafił utrzymać wzruszenia w tym stopniu i tak małemi środkami.

Równie niezwykłą jak potęga uczuć jest cudowna twórczość Rubensa, twórczość nie mająca sobie równéj w dziedzinie sztuki, wyjąwszy jednego Szekspira, twórczość wyobraźni, pomysłów i rzutów, błyskawicznie się pojawiająca lub tak nagle znikająca, że patrzący o jéj istnieniu zupełnie wątpi. On pokornie i skromnie ukrywa, prawie przygłusza swoją wysoką intelligencję niezrównanemi zdolnościami artysty bawiącego oczy, tak zupełnie jak Szekspir kryje swoją twórczość po za przymiotami dramaturga, jakby ci mówił: „Jestem tylko robotnikiem posiadającym jaką taką łatwość, płatnym od łokcia lub po 100 złotych dziennie: przypatrz się więc kształtom, kolorom i grupom tam umieszczonym, żeby cię zajęły chwilkę.“ Dla uważnego spostrzegacza ta skromność albo raczéj ta obojętność, kryje myśl wyrównywającą największym rzeczom. Rozważ tę twórczość w niezrównanem *Pokłonie Mędrców* w muzeum antwerpskiem, bo tam ją pod każdym względem trzeba podziwiać. Wielki Boże! czegoż tam nie ma na tym obrazie? Widać naprzód w całym blasku zewnętrzne zalety artysty w piękności widoków, bogactwie przedmiotów, malowniczych fałdach sztywnych brokartów, zielonych i czerwonych draperjach przy olśniewającém świetle, a przytem prawdziwy wschodni koloryt zbadany na dwieście lat przed naszemi nowoczesnemi artystami, którzy go uważają za swoją zdobycz a Wschód za własną dziedzinę. Wszystko to, mówiąc nawiasem, powinno nas mniéj zarozumiałemi uczynić. Po nad zewnętrzną, materjalną barwą miejscowości góruje koloryt wewnętrzny, moralny. Na twarzach osób składających ten święty obraz uwydatnia się mądrość, nadzwyczajna powaga, cześć religijna i wschodnia zmysłowość. Wykazawszy dostatecznie te wysokie zalety, napotyka się inny przedmiot godny podziwu. Kryjąc nieznacznie swą myśl pod zewnętrznym przepychem obrazu, Rubens opowiedział w pokłonie oddanym bozkiemu dzieciątku przyszłą dolę i następne przeznaczenie religji chrześciańskiéj. Trzéj mędrcy wyobrażają trzy kasty rodu ludzkiego, które się kolejno nawracały do Jezusa i przybywały w postawie w jakiéj, je Rubens wystawił. Jeden tylko mędzec klęczący u stóp dzieciecia oddaje mu rzeczywisty pokłon. Jest to mędrzec i kapłan według porządku Melchizedecha, o czém przekonywa biała komża i mały towarzyszący mu chórzysta przebrany za pazia. Drugi mędrzec stojący w groźnéj postawie w rogu obrazu, okryty szkarłatnym płaszczem jest mędrcem politykiem władcą jak Nemroda i Cezara, oraz przedstawicielem władzy i siły. Z pańska trzyma się na uboczu a jego groźna twarz, w któréj czytasz nałóg rozkazywania, nic dobrego nie zapowiada: widocznie odbywa się w jego duszy walka, w któréj duma gra pierwszą rolę. Widać że ten pokłon go kosztuje i kosztować będzie. Jakto? Jego? Cyrusa, Nabuchodonozora zwabiła tajemnicza siła do oddania hołdu téj istocie? Jakto? Więc ta gwiazda przewodnia, krążąca nad dzieciątkiem ma być zapowiedzią jego cudownego posłannictwa? Jakto? Więc ten obraz słabości będzie potężniejszy niż władza królów, a w jego imieniu panujący będą wymierzać sprawiedliwość? Przyjdzie jednak do tego, bo tę pewność mędrzec czerpie w swojéj czarnoksięzkiéj sztuce przekonywającéj, że nieodwołalne są wyroki przeznaczenia, ale choćby to najpóźniéj nastąpiło wykrzywia się na tę myśl i marszczy brwi groźnie.

Trzecim mędrcem jest młody rajas indyjski lub dowódca abissyński, w wykwintnem zielonem ubraniu, w ładnym turbanie z kitką na głowie, a cery murzyńskiéj z grubemi wargami, wesołéj twarzy, przytem dobréj tuszy uwydatnionéj przez obcisły kaftan. Ten nie ukląkł tak jak pierwszy, nie stoi tak na uboczu jak drugi, cóż więc robi młody poganin? Oto bokiem spoglą da na Najświętszą Pannę i Dzieciątko, ale w tych zerkających oczach jest tyle dobroci, a w uśmiechu tyle ludzkiéj sympatji właściwéj jego zmysłowéj fizjonomji, przytem w całéj jego osobie jest tyle szczeroty, serdeczności i miłości, że to nieuszanowanie przewyższa wszystkie hołdy. Tą potężną choć niestałą siłą, religja chrześcijańska utoruje sobie drogę w świecie, otwierając źródła litości i dobroci. Oto ten młody rajas jest wiernym obrazem tego, co religja chrześcijańska zrobi z ludzkości słabéj na ciele, a mającéj tylko dużo dobréj woli, skoro bowiem nie będzie mogła zupełnie nawrócić jéj pogańskiéj natury to zakorzeni skruchę co podniesie te massy. Pomimo że to są trzéj mędrcy, nie nazywają się oni jednak Baltazar, Melchior i Gasper ale mianują się trzema wyrażeniami formuły podtrzymującéj gmach magii; pierwszy bowiem nazywa się *Doxê* drugi *Dunamis* a trzeci *Eros*, to jest nauka, władza i miłość, trzy potęgi, które gdy złączone dokonywają czarów. Oto są myśli nasuwające się z szybkością błyskawicy, kiedy wzrok nasz z uwagą spocznie na cudnych malowidłach Rubensa. Niech nikt nie uważa naszéj krytyki za grę wyobraźni, podnieconą zapałem. To orzeczenie przyszłości chrześcianizmu jest w całéj prawdzie na tym obrazie, bo je można zauważyć z postawy, ubioru, fizjonomji i poruszeń osób. Można je nie dostrzedz ale dostrzegłszy trudno je zaprzeczyć [1]).

Jeśli chcesz innego dowodu téj zdumiewającéj twórczości, to weźmy *Cudowny połów ryb* znajdujący się w kościele Nôtre Dame w Malines. To jest jeden z obrazów, który artyści powinni najstaranniéj studjować bo nigdzie się tak wyraziście i jawnie nie uwydatniają zalety i wady rysunku Rubensa. Na tym obrazie widać cały szereg nauczających i tak rozmaitych szkół jak żyjące ich wzory. Tęgie karki, czworograniaste ramiona i potężne plecy, których wzór znalazł Rubens u majtków portu antwerpskiego zostały oddane przez artystę z nieudaną prawdą i dojrzałością, wyrównywającą barczystym modelom. Nie dla tych jednak rzemieślniczych zalet króla robotników ani też dla zalet wykonania ten *Cudowny połów ryb* nas pociąga, Geniusz Rubensa nie polega wyłącznie na technicznych zaletach malowania. Jeszcze większa dokładność, zapał i świetność są w *Cudownym połowie ryb* Adriana von Noorta, niemłodego nauczyciela Rubensa a najwięcéj pod tym względem stoi grubijański i nieokrzesany Jordaens.

Jeśli chcesz wiedzieć czem jest gieniusz i co go dzieli od zwykłego talentu, to się przypatrz głównéj osobie obrazu, świętemu Piotrowi. Ta postać nie jest zupełnie idealną, owszem przedstawia się zgminną naturalnością, bo Ś. Piotr jest ni mniéj ni więcéj tylko robotnikiem w porcie antwerpskim. Rubens nie jest pierwszym z malarzy, którzy brali postacie z natury. To samo całe życie robiło dwóch ludzi wyższego talentu, Ribeira i Michał Anioł Caravagio a dla czegoż postacie przez nich malowane nie czynią żadnego na nas wrażenia, kiedy postacie Rubensa utworzone na ten sam sposób tak głęboko nas wzruszają? Przypominam sobie niejakich *Ucznì z Emaus* Caravagii wystawionych w londyńskiéj *National Gallery.* Caravagio naśladował duchowieństwo przebierające do dramatów procesjonalnych, śpiewaka parafialnego za Ś. Jana Chrzciciela a miejscowego kotlarza za Ś. Tomasza, poszedł więc do jednego warsztatu wybrał sobie fizjonomie trzech mularzy, których rysy najlepiéj odpowiadały jego energicznemu pędzlowi i całość przezwał *Uczniami z Emaus*. Gdyby kto o tem nie wiedział, mógłby bez żadnego interesu przyglądać się temu malowidłu nic tam nie widząc, prócz trzech mularzy jedzących wesoło wieczerzę Ś. Piotr Rubensa jest z téj saméj klassy co uczniowie Caravagii, przypatrzmy się więc temu co on wyraża. On nie ma rysów włoskiego Jowisza i inteligencja nie ożywia jego twarzy, cóż więc jest tak odznaczającego w téj osobistości? Co takiego? Otóż jest w nim coś wyższego nad piękność fizyczną i nad inteligencyą, coś co stanowi typ wyjątkowego człowieka. Stojąc pokornie przed Jezusem z oczyma spuszczonemi, trzyma w ręku przykrycie głowy i całą postawą zdaje się wyrażać to, co mówi istotnie: Panie teraz widzę, że jesteś Synem Bożym". Rubens cudownie pojął i oddał charakter Ś. Piotra podług Ewangelji i nim jednocześnie odwzorował tę tak liczną część rodu ludzkiego, któréj przez swe zalety i wady Ś. Piotr jest przedstawicielem, to jest lud. W pokornéj fizjonomii i uniżonéj postawie czytasz naturalne graniczące z instynktem cnoty ludu, mianowicie wrodzone, natychmiastowe i dobrowolne posłuszeństwo dla uwielbianego człowieka, bezwzględną ufność przez którą godnie wyobraża doskonałą wiarę, zupełne i nieograniczone poświęcenie, łatwy niepokój istot wystawionych na nadużycia i postrachy, słowem całą wielkość i niemoc materjalnéj duszy ludu, który nieograniczenie kocha lub nienawidzi, poświęca się bez egoizmu, nieroztropnie niepokoi i dozwala uczuciu całkowicie zawładnąć swoją istotą. Gdyby Rubens dał za *pendant* do Ś. Piotra z *Cudownego połowu ryb* tegoż Piotra popierającego Jezusa w obec sług i żołnierzy, to w owéj z boleścią wspominanéj chwili, kiedy zdjęty niewytłomaczonym strachem właściwym ludowi, zaparł się mistrza trzy razy, mielibyśmy odwrotną stronę typu, którego wierzchnią częścią jest obraz w Malines.

Wiele jest zachwycających przymiotów w dziełach Rubensa, ale ponad wszystkie niezmierna rozmaitość. Wzbudzał podziw każdym przedmiotem jaki obrał i oddał gienialnie w właściwym duchu i nieslychanie ognistą wyobraźnią, Nie można dać piękniejszego

[1]) Rubens kilka razy brał za przedmiot *Pokłon Mędrców*, a mianowicie w malowidle przyozdabiającem wielki ołtarz kościoła Ś. Jana w Malines. Jednak przy najlepszych w świecie chęciach nie mogłem się przyjrzeć tak cenionemu przez znawców dziełu, nie przeto o nim nie powiem. Tak się też rzecz miała ze słynnem *Wniebowzięciem* w wielkim ołtarzu kościoła Nôtre-Dame w Antwerpii. Ponieważ zdarza się tego sposobność, pytam się dlaczego główne dzieła mistrza są pomieszczone w tak niekorzystnych warunkach? Czyżby je nie można zastąpić dobremi kopiami, któreby przyozdabiały wielkie ołtarze tak dobrze jak oryginały, a te ostatnie pomieścić w miejscu pewnem, zabezpieczonem od wilgoci, dymu z gromnic i gdzieby je można dojrzeć?

przykładu jego twórczego i namiętnego umysły nad *Ostatnią Komunię św. Franciszka z Assyżu* znajdującą się w muzeum antwerpskiem. Ten obraz jest dramatem godnym Szekspira tak pod względem kolorytu, jak akcyi dramatycznéj i co ciekawsze pod względem przenikliwości historycznéj. Jest to chwila śmierci w kościele Najświętszéj Maryi Panny Anielskiéj w Assyżu, o ile wyobraźnia nam ją wystawić może z zamianą tylko twarzy włoskich na flamandzkie Rubensa. Wzniosły *prostaczek Chrystusowy* wycieńczony postami, umartwieniami, modlitwami długiemi, pieszo odbywanemi podróżami, bolesnym zaszczytem boskiego namaszczenia, czując zbliżającą się śmierć, kazał się obnażony zanieść do kościoła. Ciało i postawa świętego przypominają Ś. Hieronima Dominikana, tylko bez wyrazu surowo łagodnéj żarliwości tak zgodnéj z charakterem tego ostatniego. Wszyscy ukochani braciszkowie tam się znajdują; wszycy, którzy boso za jego przykładem *przywdziali skromny kaptur*, a teraz, wyrażając się jak Dante, otaczają człowieka, który im przewodniczył jak ojciec i mistrz. Wzruszenie doszło już do zenitu, bo więcéj boleści dusza milcząca przenieść nie może. Nie ma tam łkania, bo wszyscy je tłumią, nikt nie płacze, a wszyscy w duchu toną we łzach. Wszystkie odcienia uczucia podług wieku, usposobienia i fizjonomji są tak trafnie stopniowane, że każdy z tych różnorodnych rysów boleści stworzył osobistość i określił jéj charakter. Kapłan nienależący do tego zakonu, daje komunją tłumiąc pełne uszanowania spółczucie i z wysiłkiem zachowuje niewzruszoną powagę, jaką mu nakazuje dokonywany w téj chwili obrządek kapłański. Trochę daléj młody mnich pod wpływem wzruszenia właściwego niezahartowanym istotom, wybucha prawie niewieścią boleścią, ale czułe dusze są łatwe do wzruszeń, dla tego więcéj rozrzewniające są łzy płynące po męzkich obliczach.

Rubens to cudownie oddał w postaci wąsatego mnicha, tak pobożnie się modlącego, postaci wystawiającéj starego sierżanta hufców żebrzących, Egidia lub Bernarda Quintavalle czy też jakiego *brata* Leona, upadającego na myśl rozłąki z jenerałem, z którym odbył pierwsze apostolskie wyprawy. Rubens wiedział jakie różnice są między ludźmi, umiejętnie więc wykazał, że są serca obojętne na tę ogólną boleść. Jest tam bliżéj młodego nowicjusza chudy mnich z surową twarzą, ale czy z gorliwości o religią? Ten mnich wygląda na jakiego *brata* Eliasza, którego modły S. Franciszka nie uchroniły od pokus i roją mu się po głowie świeckie myśli, ambicji i ucieczki. Wszystko to zadziwiająco z życia wzięte, zadziwiająco głębokie i poważne. Ten obraz to więcéj niż piękne malowidło, bo to jest jeden z najprawdziwszych i najrzewniejszych poematów religijnych. Ci, którzy przypisują Rubensowi, że szukał malowniczych efektów a był obejętny na stronę moralną, powinni przypatrzyć się temu obrazowi aby się przekonać, jak wzniosłym był umysł tego wielkiego człowieka, a jeśli to dojrzawszy będą się upierali przy swéj pierwotnéj opinji, to już żadna oczywistość ich nie przekona.

U Rubensa mniéj jest wdzięku niż siły zespolonéj z okazałością, która przy dramatyczności stanowi jego główną cechę. Jednakże kiedy chce, ma subtelny i bardzo udatny choć wyszukany wdzięk. Najszczęśliwszą próbką tego udatnego wdzięku, jaką można przytoczyć, jest *Wychowanie Najświętszéj Panny* będące w muzeum antwerpskiém. Cóż to za śliczny obraz!

Malarz, jeśli się można tak wyrazić, przybrał przyrodę w barwy Najświętszéj Panny, bo koloryt malowidła zastosował do jéj wieku. Wszystko tam jest różowe, lila, jasno niebieskie lub jasno zielone jak odcienia rozkwitającéj wiosny lub kolory młodych dziewcząt.

Nie mam pretensji określić w kilku pobieżnych rzutach, wszystkich cech wielkiego artysty przynoszącego nieśmiertelny zaszczyt Flandrji. Nic nie powiedziałem i nie powiem o jego bogactwie pomysłów, ani o nadzwyczajnéj zdolności uchwycenia wszędzie najprzelotniejszych objawów piękna oraz cudownéj wprawy oka, słusznie zdaje mi się przeze mnie nazwanéj *szykiem* podniesionym do geniuszu. Wszystkie te przedmioty są dobrze znane i nikt zresztą nie myśli ich zaprzeczyć, choć one stanowią u Rubensa najmaterjalniejszą i najmniéj szlachetną zaletę. Jakkolwiek nie na tem polega jego talent, chciałem jednak wykazać, że ta nadzwyczajna technika była podniesiona inteligencją, stojącą na wysokości myśli i wielki malarz był zarazem wielkim poetą dramatycznym. Własciwy Rubens był nietylko zręcznym materjalistą, jak go chce uważać i ocenić powierzchowna krytyka, ale także dramatycznym i głęboko religijnym. Wdzięczna Flandrja powinna mu wznieść tak kolosalny jak jego dzieła posąg, gdzieby stał uwieńczony od innéj muzy niż ta, któréj hołdował, z następnym na piedestale napisem: Piotrowi Pawłowi Rubensowi, który znakomicie połączył tradycje sztuki flamandzkiéj z wyobrażeniami religijnemi ludu flamandzkiego, muza dramatyczna przysądza ten wieniec jako jednemn z najsławniejszych swych synów."

Do méj Piosnki!

Piosnko moja! lube dziecię
Smutku, śmiechu lub tęschnoty,
Ty mi jedna na tym świecie,
Dajesz śmiech lub łzę sieroty.

Powiedz, powiedz, piosnko moja,
Zkąd w twem brzmieniu siła taka?
Zkąd ta nuta rzewna twoja
Zawsze w pięknie swem jednaka?

Ja cię pragnę ukochana,
Słyszeć w wieczór słyszeć z rana,
Póki jeszcze starczą siły......
Potem brzmij mi u mogiły.

Mirosława.

KORESPONDENCJA

TYGODNIKA MÓD.

Z WIEDNIA.

(Dokończenie.)

Z książek wydanych ostatniemi czasy w Wiedniu, wspomnę wyszłą świeżo u Gerolda: Die Kunst im Hause (sztuka w domu przez Jakóba Falke). Są to studja historyczne i estetyczno krytyczne nad sposobami ozdabiania pomieszkań, skreślone jasno i zrozumiale, a w sposób bardzo pouczający i wolny od wszelkiéj pedanterji. W ozdabianiu pomieszkań naszych trzymamy się albo własnego smaku i wtedy często błądzimy, albo naśladujemy innych i stajemy się śmiesznymi.

Skoro zaś wymagania wielkie są tego rodzaju, że na urządzenie domu zwykle dość znaczną poświęca się sumę, dla czegoż pieniądze nie mają być użyte w sposób warunkom sztuki odpowiedni? A gdy i u nas stara prostota dawno już przeniosła się do folwarku, a dwory i pałace urządzają się wyłącznie na sposób zagraniczny, mniemam że książka wspomniona gdyby na język polski przełożoną została, i dla naszych gospodyń mogłaby stać się bardzo użyteczną, nim się na jaką nowszą pracę oryginalną w tym względzie zdobędziemy, któraby odpowiedziała tegoczesnym wymaganiom.

C. Höfler, znany jako wydawca źródeł do historji ruchu husyckiego i jako badacz historji wieków średnfch, wydał świeżo u Gerolda biografię Anny Luxemburgskiéj, córki cesarza Karola IV, a żony Ryszarda II króla angielskiego, czyli raczéj jéj panowanie od r. 1382 do 1394. Jest to okres bardzo ważny dla historji czeskiéj; zaślubiny bowiem królewny czeskiéj z królem Ryszardem, stały się powodem dość ścisłych stosunków pomiędzy Anglją a Czechami, zwłaszcza pomiędzy uniwersytetem oksfordzkim a pragskim, w skutek czego znowu wiklifizm wywarł przeważny wpływ na husytyzm. Książka Höflera jednak nie wyjaśnia szczegółowo tego stosunku, tylko umowa Ryszarda II z królem czeskim Wacławem, bratem Anny, tycząca się uznania papieża rzymskiego Urbana VI, w opozycji przeciw papieżowi aweniońskiemu Klemensowi VII, dokladniéj jest opowiedziana. Podobnież zanadto mało znajdujemy tutaj szczegółów życia i cierpień saméj królowéj Anny i to do tego stopnia, iż w ciągu czytania zapomina się, że to jéj biografia leży przed nami. Z tego powodu tytuł książki „Anna von Luxemburg itd." zdaje się być niestosownym; właściwiéj było powiedzieć „Ryszard II król angielski i jego wiek." Natomiast autor bardzo obszernie rozpisał się o Wiklifie i jego stronnictwie. W kilku miejscach wspomina o nim prawie z szyderstwem, w ogóle jednak przyznaje mu stałość przekonania, ogromną wiedzę, niepospolitą ruchliwość i niepojętą prawie twórczość umysłową, obok niepokalanéj czystości życia. Höfler twierdzi, że Wiklif umiał podnieść naukę do szczytu potęgi i mniema, że poświęciwszy całe życie na rozszerzenie widnokręgu współczesnych i na wciągnięcie ogółu do udziału w sprawach kościelnych, nie mógł u schyłku żywota nic lepszego uczynić, jak tłomacząc pismo święte na język ojczysty.

U tegoż wydawcy wyszła niewielka ale bardzo ciekawa broszura: Regulamin czynności soboru Trydenckiego, z rękopismu znalezionego w archiwum watykańskiem po raz pierwszy drukiem ogłoszony. Jest to dokument niezmiernie ważny dla historji, nietylko bowiem objaśnia sposób postępowania na soborze trydenckim, lecz oraz wyjaśnia wiele wątpliwości tyczących się ostatniego soboru, i stawia go we właściwem świetle. Po odczytaniu rzeczonego regulaminu łatwo pojąć, dla czego kurja rzymska nie pozwalała dotychczas na jego ogłoszenie. Pokazuje się bowiem, że regulamin ostatniego soboru, watykańskiego, zostawał w najjaskrawszéj sprzeczności z tradycją kościoła o soborach, i że pozbawionym był nie tylko takiéj swobody, którą sobór trydencki za prawo sobie poczytywał, lecz że tak zwany sobór watykański nie miał nawet takiego charakteru, jaki tradycja do soboru przywiązuje; zkąd wypada, że sobór watykański, a więc i jego uchwały, są nieważne.

Oto mniéj więcéj wszystko, co się w ostatnich dniach w tutejszym handlu księgarskim pojawiło. Wydawnictwa ludowe, czyli tak zwane biblioteki pięciocentowe, pomijam jako nieodznaczające się wartością wewnętrzną. Handel księgarski tutejszy zasila się głównie wydawnictwami berlińskiemi, lipskiemi, gotajskiemi itd., gdybyśmy zaś o tych wszystkich, czyli w ogóle o ruchu literackim niemieckim pisać chcieli, niestarczyłoby nam miejsca w szczupłych ramach korespondencji.

Jak z książkami, tak samo rzecz się ma na polu sztuk pięknych. Artyści tutejsi jakże mało zajmują miejsca na wystawach obrazów! Teraźniejsza wystawa Towarzystwa sztuk pięknych wymownym jest tego dowodem. Tłumy ciekawych i zwolenników sztuki wypełniają sale, tak że się przecisnąć niepodobna, lecz wabikiem który te tłumy przyciąga, nie są utwory miejscowe. Główną wystawy téj ozdobą jest kolosalny karton Kaulbacha, przedstawiający smutną scenę z czasów inkwizycji św. w Hiszpanji. Piotr Arbues inkwizytor, który tysiące Żydów i Maurów wymordował, ślepy starzec straszliwéj powierzchowności, wychodzi z pałacu inkwizycji wsparty na dwóch mnichach i niecierpliwie potrąca laską o grupę kacerzów, złożoną z kilku osób rozmaitego wieku i płci, skazanych na spalenie i ztąd pogrążonych w rozpaczy. W głębi wldać kilka palących się stosów i ponurych mnichów w processji idących. Na najniższym planie leżą skonfiskowane pieniądze i kosztowności, które charakterystyczny wielce mnich zgarnia chciwie. Osoby przedstawione są w naturalnéj wielkości. Obraz ten uważany jest pod względem wykonania za arcydzieło, zarzucają mu tylko błąd historyczny, mianowicie to, że Arbues, gdy mordował kacerzów nie był ani starcem, ani ślepym; artyście chodziło zapewne bardziéj o symbolikę niż o ścisłość historyczną.

Na tejże wystawie znajdują się dwa obrazy p. Suchodolskiego z Warszawy: Napoleon w wąwozach Somma Sierry i Powrót Napoleona z Moskwy. Zdania recenzentów tutejszych o tych obrazach mianowicie co do ich wykonania, są podzielone. Jeden z nich powiada, że są wykonane z prawdziwie polską samowolą." Co się tyczy pomyslów, te powszechnie są chwalone.

Kończąc moje sprawozdanie, nie mogę pominąć, że budowa kościoła ślubowanego (Votivkirche) bardzo szybko zbliża się do końca. Będzie to bazylika pierwszego rzędu, która wkrótce stanie się równie sławną jak katedra kolońska lub tum sztrasburgski. Kościół ten ślubowany przez cesarza Franciszka Józefa z powodu zamachu na jego życie, przed laty kilkunastu spełnionego, zbudowany jest w najczystszym stylu gotyckim, w kształcie krzyża i przypomina niezmiernie kościół św. Szczepana, tem jednak różnić się będzie od niego i podobno od wszystkich średniowiecznych świątyń gotyckich, że będzie całością zupełnie skończoną. Pomimo późnéj i nader chłodnéj pory roku ciągle i licznie kręcą się koło niego robotnicy. Podobnież postępują roboty na placu wystawy powszechnéj. Dnia 4 listopada odbędzie się uroczystość otwarcia nowo wystawionego muzeum au-

strjackiego, przyczem urządzona będzie w tymże gmachu wystawa przemysłowa, która ma być próbą tego co przemysłowcy austrjaccy zdołają dać na wystawę powszechną w 1873 roku. Przygotowania są już pokończone. Wystawa zajmie na dole trzy wielkie sale z górnem światłem i sześć z bocznem. W środkowéj sali pomieszczona będzie plastyka, w południowéj ceramika, i fabrykacja szkła, w północnéj metalurgja, w dwóch salach z górnem światłem tkactwo itd. lecz wszystko to należy już do przyszłego miesiąca.

Przegląd literacki.

Pamiętniki Seweryna Bukara, z rękopisu po raz pierwszy ogłoszone *Drezno 1871 r.*

Czem są dla historji pamiętniki wszelkiego rodzaju? Kto je je pisać winien i jakim szczególniéj dajemy pierwszeństwo? są to rzeczy wiadome i oddawna uznane. Im więcéj posiadamy pamiętników, z danéj epoki, tym staje się ona pełniejszą i jaśniejszą dla nas. Epoki mianowicie odznaczające się wielkiemi wypadkami zyskują wiele na każdym tego rodzaju zabytku pismiennym, choćby on wyszedł z pod ręki niezbyt biegłéj pod względem autorskim, ale zawsze ręki, co brała czynny udział w tem, co spisała. Wśród katastrof stanowczy wpływ wywierających na dalsze losy narodu, trudno dopytać prawdy, bezstronne tylko pamiętniki wyprowadzić nas mogą z tego labiryntu sprzeczności, jakie nam historja stawia przed oczy. Wtedy bowiem jedni na drugich zwalają winę; złe ze wszystkiemi swojemi następstwami istnieje, a sprawców jego odszukać nie możesz. Wtety nikt nie jest winnym, bo wszyscy są winni: rehabilitacja jednych, a potępianie drugich na nic się nie przydały, bo jedne i drugie dyktuje duch stronnictwa, albo niewykorzenione przesady.

Dziś naprzykład, gdyby kto chciał jasne mieć wyobrażenie o przyczynach, które sprowadziły na Francję klęskę ostatniéj wojny, próżnoby ich szukał w broszurach i dziełach nawet, iż pominiemy artykuły dzeinnikarskie, wyszłych z pod pióra samych Francuzów. Jak skutki złego przeminą, prawda się wyjaśni, tymczasem zaś poprzestać musimy na autorach cudzoziemskich, choćby i angielskich.

Fakt ten tłomaczy nam dla czego dzieje nasze ostatniéj epoki pisali cucdzoziemcy. Historja się pisze *sine ira et odio*, a my na ten spokój zdobyć się nie możemy. Stanisławowska epoka i ta która po niéj nastąpiła tak jest zawikłana, tak ciemna, że jasnego obrazu utworzyć nie może, wszystko więc, co do jéj rozświetlenia przyczynia się pod jakimbądź względem, drogocenny stanowi materjał historyczny.

Z epoki, o któréj mowa, posiadamy wprawdzie niejeden pamiętnik, ale choćby ich liczba zdwoiła się, to jeszcze i z wdzięcznością powitalibyśmy każdą tego rodzaju publikacją jaką nas obdarza *Biblioteka pamiętników i podróży*.

Pamiętniki Bukara z przyjemnością i pożytkiem czyta każdy, dla którego przeszłość nie jest obojętną.

Autor pamiętników nie należy do ludzi, co niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli, owszem doświadczenie przebyte nauczyło go bardzo wiele, ale też i o wielu rzeczach zapomniał, czy nie chciał sobie przypomnieć. Daleko bogatszą i pełniéjszą byłaby pamiątka, gdyby autor spisywał swoje pamiętniki pod wrażeniem chwili, nie zaś przy schyłku swojéj ziemskiéj pielgrzymki. Cały urok współczesności znikł, i zostały tylko nie powiązane z sobą wydatniejsze wspomnienia.

Pamiętniki Bukara zawierają następujące działy: „Dom rodziców moich." Jest-to opis Januszpola, głównéj siedziby Bukarów, rodziny nie liczącéj się do magnatów, ale zamożnéj szlachty. II „Zakład naukowy wojskowy." Tu znajdujemy mnóstwo szczegółów dotyczących historji korpusu kadetów, który za młodych lat autora pamiętnika mieścił się w Kazimierowskim pałacu. III. „Towarzystwo ówczesne Warszawskie" naturalnie te tylko, jakie mógł poznać młodziutki kadet podczas rekreacyi szkolnych. Autor daje nam także kilka rysów o Stanisławie Auguście, o którym słusznie powiedziano, że był *dignus imperare nisi imperasset*. IV „Karjera wojskowa." Drogoceenne drobiazgi; spotykamy tu wielu młodzieniaszków, których imiona w następnych czasach zostały wsławione lub osławione. V. „Rozmaitości." mnóstwo ciekawych szczegółów obchodzących zarówno rodzinę autora jako też domów obywatelskich połączonych z nią związkami krwi lub przyjaźni.

Do Pamiętnika dodane są przypisy, nadzwycza ciekawe, gdyż w nich znaleść można począwszy od ulotnych okolicznościowych wierszyków, a skończywszy na uwagach bardzo trafnych w głąb saméj rzeczy sięgających.

Pamiętniki Bukara jeśli nie zbogacą historji wieloma szczegółami, za to wybornym mogą być materjałem dla przyszłego autora powieści historycznéj, kwtórą tak uboga nasza literatura.

Kochanki Augusta II króla polskiego, zwanego mocnym, spolszczył M. J. Warszawa 1871 r.

Elektor Saski i obieralny król polski August II niezbyt świetną zajmuje kartę w dziejach obydwóch krajów. Jeśli my nie mamy za co być mu wdzięcznemi, to tym bardziéj Sasi, których skarb i znaczną część prowincyi przez swoje zbytki i kosztowne hulatyki więcéj zrujnował, niż nieszczęśliwa wojna z Karolem XII. Autor też kreśląc pobieżnie historją tak zwanych faworytek królewskich, znalazł dosyć żywiołu do odmalowania Augusta w najczarniejszych kolorach, a tłomacz polski nie widział potrzeby zmieniać ich choćby w szare.

August II był wzrostu słusznego, przystojny i niesłychanie silny, ale na nieszczęście siła ta fizyczna w odwrotnym zostawała stosunku z siłą moralną. Historja surowa go osądziła przypisując jego niedołęztwu wszystkie klęski, jakie spowadziła wojna szwedzka tak na Polskę, jak i na Saksonią. Stwierdza to autor książki o któréj mówimy, prawie na każdéj stronnnicy, ukazując nam elektora, jako człowieka zarozumiałego, ambitnego, a nie posiadającego żadnego przymiotu, który zdobić winien monarchę. Ubieganie się za zmysłowemi rozkoszami było treścią i celem jego życia.

Pomiędzy przyjaciołkami Fryderyka Augusta, z któremi hulał, bawił się i występował publicznie, najgodniejszą jeśli nie szacunku, to litości była hrabianka Aurora Königsmark. Piękna, wykształcona, szczerze pokochała Augusta i bezwarunkowo mu się poświęciła w téj myśli, że się stanie jego aniołem opiekuńczym, skieruje go na drogę sławy, a przez to przyczyni się do pomyślności swojego kraju. Jakże się biedaczka zawiodła. Fryderyk August nie umiał kochać, nie mając żadnych szlachetnych uczuć w sercu. Aurora wkrótce opuszczona, zajęła się wychowaniem syna znanego w historji pod imieniem Maurycego Saskiego. Miejsce hr. Königsmark zajęła hr. Esterle, potem Fatyma turczynka, matka hr. Rutowskiego, a daléj księżna Lubomirska jako księżna Cieszyńska; syn jéj pozyskał, imię *Chevalier George de Saxe*. Najdłużéj potrafiła zachować serce Augusta hr. Hojmb, przezwanana hr. Kozel, ale dumą swą naraziwszy sobie dworaków, uciekać musiała. Schroniła się do m. Galii (? czy to nie Halla) ale przez Prusaków wydana w więzieniu życie spędziła.

Pod względem historycznym niejeden znajdziemy tu szczegół wyjaśniający szalone szczęście Karola XII przy niedołęztwie elektora Saskiego i króla Polskiego. Straszna i niezasłużona śmierć Patkula opisana tu szczegółowo. *P.*

O UBIORACH.

Zwykle każda nowo rozpoczynająca się pora roku sprowadza zmiany w gatunkach, deseniach lub kolorach tkanin. Zmiany te jednak ani bardzo znaczne ani nagłe być nie mogą, bo sami właściciele pierwszorzędnych magazynów, tak za granicą jak i u nas, przysposobiwszy znaczne zapasy przy szybkich i rażących zmianach narażeni byliby na straty. Zresztą tylko mody ekscentryczne i jaskrawe prędko przemijają, wszelkie zaś wyroby odznaczające się dobrym gustem i gatunkiem, śmiało znoszą współzawodnictwo z nowościami. To też w materjałach na płaszczyki, paletoty i kaftaniki żadne znaczniejsze nie zaszły zmiany. Główną nowość w wyrobach wełnianych, tkanych na sposób aksamitu, stanowi przedziwna miękkość mimo mięsistości tkaniny. W tych przeważnie używane są kolory ciemno zielony, szafirowy i brązowy.

Cokolwiek lżejsze od poprzednich wyroby, zbliżone do sukna, najwięcéj sprowadzono w kolorach nie zbyt ciemnych brązowych i popielatych.

Na kostiumy zimewe, najmodniejsze jest sukienko w kolorze granatowym ze szlakiem czarnym lub białym z czarnemi brzeżkami albo też z obłożeniem futrzanem. Co się tyczy materji wełnianych na suknie, to pierwszeństwo mają jednokolorowe, matowe, przerabiane na kształt rypsu w prążki podłużne lub skośne kiprowane, lustrowne jak jedwab, również przerabiane w rzucik okrągły lub kwadratowy na tle matowem.

Jakkolwiek wyżéj wymienione kolory przedewszystkiem są noszone, jednakże domięszanie innego cieniu albo nawet innego koloru na garnirunek lub tunikę ciągle używane.

Materje jedwabne znane już pod nazwą: gros grains faille, épinglé, tafty i rypsu, odznaczają się pięknością i świężością kolorów; z nowych przybył rodzaj kiprowanego fularu, zalecający się miękkością i niezbyt wysoką ceną.

Na strojne wieczorne ubrania odznaczają się rodzaje wyrobów gazowych z świeżym połyskiem i przejrzystością. Służą one tak na całe ubrania jak i na wierzchnie pokrycia do sukien jedwabnych. Zarówno modne są gładkie w jednym kolorze, jak przerabiane w atłasowe pasy ciemniejszego odcieniu lub odmiennego koloru.

Główną zaletą nowych wyrobów jest niezmierna rozmaitość i kombinacja farb i cieni, oraz oryginalne zestawienie kolorów np.

Wody morskiéj i lazurowy; czerwony goździkowy i blado różowy; złoto żółty i fijołkowy; ciemno karmazynowy i oranżowy. Na mniéj kosztowne ubrania ciągle przyjęte atarlatany i muśliny.

Na garnirunki i obłożenia do paletotów, kaftaników i kostjumów najwięcéj używany jest aksamit i wyszycie jedwabnym sutaszem; do kosztowniejszych bogate frendzle i pasmanterje oraz koronki. Do okryć aksamitnych lub do jakichże kostjumów oszycia z futra lub piór.

Mufki futrzane i kołnierze utrzymują się ciągle bardzo małe, nawet kołnierze zastąpione bywają przez wązkie boa czyli krawatki futrzane, wiązane na szarfy ze wstążki.

Oprócz kapeluszy aksamitnych noszą również toczki futrzane i oszycia z futra u bucików i rękawiczek.

Pora nadchodzącéj gwiazdki zniewala nas także wspomnieć o magazynie pana Maurycego Reichla przy ulicy Wierzbowéj w gmachu teatralnym mieszczący się, w którym przygotowano mnóstwo ubrań dla dzieci.

Zasób towarów powyższego magazynu jest tak wielki iż doprawdy trudno by nam było o każdym nadmienić szczególe, przestaniemy też na wyłuszczeniu przedmiotów służyć mogących na podarunki kolendowe, w tem przekonaniu, że każdy przedmiot pochodzący od pana Reichla stanowić będzie nie tylko podarunek piękny, ale co ważniejsza praktyczny. Przejrzyjmy naprzykład oddział ubrań dla dzieci, a znajdziemy tam od wyprawy skromniejszéj lub bogatszéj dla nowonarodzonego dziecięcia, do kompletnego ubrania dla dziewczynki lub chłopczyka do lat 8. Wszystkie ubrania odznaczają się gustem, sumiennem wykończeniem, n nadewszystko stosownie do ich elegancji umiarkowaną ceną. Z nowości dla dam przeglądaliśmy mnóstwo garniturów koronkowych płóciennych i najmodniejszych fasonów, kodard do kołnierzyków igłowy, rozmaitych barw, a prawie wszystkie tkane złotem lub srebrem, stanowiące prawdziwą nowość, czepeczki ranne i zupełnie negliżowe, spódnice zdobne nowym rodzajem haftu „broderie guipure" (którego liczne wzory mieszczą się w naszem pismie).

Haft ten ma pozór dawnych ciężkich koronek i prześlicznie zdobi bieliznę, a którego na łokcie nabyć można w magazynie pana Maurycego Reichla; nakoniec tiurniury, krynoliny i spódnice zastosowane do tych ostatnich. Prawdziwą nowość stanowią także pudełka bardzo ozdobne, w kształcie bombonierek wktórych mieszczą się pięknie ułożone i już obrębione tuziny batystowych chustek od nosa; pudełka ładne, śliczny stanowią prezent gdyż same przez się są nader gustowne. Ceny tychże stosownie do cienkości batystu są od rs. 6. kop. 50 i wyżéj. Na koniec zwrócić musiemy uwagę osób interesowanych, że wielką dogodność stanowią prawie wykończone już całe wyprawy, zastosowane zupełnie co do ceny i wymagań osób nabywających, i tak tuzin koszul webowych pięknie wykończonyah dostać można od rs. 24, kaftaników nocnych perkalowych od rs. 14 kop. 10, strojniejsze od rs. 1 k. 80 za sztukę, penioary od rs. 9, widzieliśmy np. jeden bardzo gustowny i wypracowany za rs: 14 penioary od rs. 7 do 21 i pół.

Zebraliśmy te szczegóły o cenach chcąc dać poznać naszym czytelniczkom, że pan Maurycy Reichel pragnie zadowolnić nietylko wykończeniem roboty, ale i przystępnością ceny.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek zdrzewo-rytami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Spojrzał na hrabinę, któréj oczy w istocie zapłonęły ciekawością, przysunęła się do niego i niecierpliwie wyciągnęła rękę.

— Daj że mi list daj mi go.

— Za pozwoleniem hrabiny ja go sam przeczytać będę miał honor odparł zwolna Surwiński, szukając po kieszeniach zapomnianych okularów.

— Ależ nudzisz, nudzisz krzyknęła Palczewska.

— Przepraszam, inaczéj być nie może trzeba systematycznie, systematycznie rzecz prowadzić dodał z flegmą Surwiński. Fiszer, jak zdaje mi się, miałem szczęście już mówić pani hrabinie człowiek jest godny, zacny, szanowany powszechnie, a że od wielu lat zamieszkuje w stolicy i ma stosunki we wszystkich kołach mógł więc dać mi informację najwiarogodniejszą, na któréj całkowicie polegać się godzi.

— Człowiecze, nie męcz że mnie! tupiąc i bijąc ręką o stół wołała gospodyni. — Cóż pisze, co pisze?

— Przepraszam rzekł urażony Karol chowając list napowrót do kieszeni. Nie mogę tak trzpiotowato, ni w pięć ni w dziewięć, coś rzucić niezrozumiałego. Nadto panią hrabinę szanuję i wiem co się jéj ode mnie należy.

— Nie szanuj a nie nudź stary gaduło!

Surwiński wstał zupełnie obrażony.

— Ale jeśli tak..

— No milczę, siedź, gadaj słucham i milczę powiem ci tylko, żeś nieznośny, słucham.

Pan Karol usiadł, rozkładał okulary zwolna.

— Rzecz się tak miała — rzekł. Wyłuszczyłem w mym liście powody, dla których pytanie tak dziwne i niewłaściwe zmuszony byłem zadać Fiszerowi. Napisałem mu jak mój pan Pilawski wygląda co robi, czego się domyślamy i jak mi wiele na tem zależy, ażebym wiedział kto właściwie jest, co znaczy!

Na to Fiszer, najzacniejsza w świecie dusza, odpisuje mi — czytać będę jego własne słowa — *Ipsissima verba*.

Hrabina westchnęła p. Karol zwolna począł rozsunąwszy list i obracając go do światła.

„Kochany przyjacielu, towarzyszu broni"

Widzi pani hrabina, żem się tem nie darmo chwalił służyliśmy w jednym pułku.

Pani Palczewska już nie odpowiedziała ani słowa. p. Surwiński powtórzył: „Kochany przyjacielu i towarzyszu broni".

Niech pani na styl nie uważa, zwyczajnie żołnierski — wtrącił jeszcze i po raz trzeci czytał — kochany przyjacielu i — z przyciskiem — towarzyszu broni wielką przyjemność po tylu latach niewidzenia i milczenia sprawił mi twój list, ale że adresu właściwego położyć na nim nie mogłeś, boś o nim nie wiedział, a nas tu tego nazwiska starych wojskowych jest kilku, wędrowało tedy pismo twe od chaty do chaty, aż nareszcie się o mnie oparło. Wdzięczen ci jestem, że mi o swem zdrowiu dajesz wiadomość i jak ci się powodzi. Co do mnie — reumatyzmy starego gnębią, słuch tępieje, oczy odmawiają posługi, ale duch rzeźwy jeszcze i krzepki, a że się dawniéj nie nadużywało sił zostało ich na starość tyle, by tę zimę bez wielkiego postękiwania przebyć. Jeśli kiedy do Toeplitz pojadę, dam ci znać, abyśmy się gdzie z sobą zjechać i pogwarzyć mogli.

—To wszystko wstęp jeszcze — rzekł nielitościwy Karol, spoglądając na hrabinę, która usta gryzła z gniewu tłumionego. Teraz Fiszer przystępuje do rzeczy, proszę pilną zwrócić uwagę.

— „Zadałeś mi niepospolite *pensum*.

Pani wie co *pensum* znaczy, bo to łacina, chodziliśmy do szkół pijarskich, więc to nie wywietrzało. Pani Palczewska kiwnęła głową.

— „Zadałeś mi niepospolite *pensum* czytał daléj p. Karol swojem pytaniem o jakiegoś ichmość pana obywatela Gabrjela Pilawskiego z Warszawy. Moje stosunki w miarę jak człowiek głuchnie i po troszę ślepnie musiały się ograniczyć znacznie, mało gdzie bywam, mało z kim przestaję i niewiele wiem. W Warszawie mnóstwo zawsze wyrasta nowych ludzi i imion powiem ci naprzód, że żadnego Pilawskiego majętnego i dobrze wychowanego, należącego do wyższego towarzystwa tu nie znam. Ale, że nie idzie zatem by go nie było. poszedłem do głowy po rozum, jakby się oto dowiedzieć.

— Widzi pani co to za człowiek! wykrzyknął Surwiński, — czy moje domysły ale idę daléj — i czytał znowu.

„Poszedłem do głowy po rozum, jakby się oto dowiedzieć. Zdało mi się, że najlepiéj uczynię gdy przejrzę spisy członków resursy obywatelskiéj i mieszczańskiéj, bo co jest porządniejszego to się w niéj mieścić musi. Wybrałem się więc, mimo deszczu.

— Co to za człowiek proszę hrabiny! wtrącił Surwiński. Hrabina trzymała się na wodzy, ale zaczynało jéj cierpliwości braknąć, jak kotka na mysz białą dłonią zasadziła się na list, by go wyrwać nieszczęsnemu czytelnikowi. Zmiarkowała jednak z zaciśniętych palców p. Karola, iż trzymał go tak, że dostałaby chyba tylko kawałki i zrezygnowana słuchała..

Wybrałem się więc mimo deszczu — ciągnął daléj Surwiński i kazałem sobie podać spis członków w resursie staréj. Obu jestem członkiem, nie licząc Harmonji do któréj Boże odpuść, należę także..

— Co to jest ta Harmonja? towarzystwo pewnie muzyczne rzekł komentator ale mniejsza o to.

— Na spisie w resursie staréj jest dwóch Pileckich, jeden Piłkowski i jeden Pilśnicki, Pilawskiego żadnego. Idę więc do obywatelskiéj, szukam. Tu Pilskich trzech, Piła jeden. Piłowalski i Pilnicki, Pilawskiego żadnego znowu..

— Ale proszę pani, z jaką ten człowiek dokładnością chodził około powierzonego sobie interesu rzekł z namaszczeniem Surwińskl — tacy ludzie już się dziś nie rodzą.

— Grzyby! szepnęła niewyraźnie Palczewska, któréj się na płacz zbierało.

— W Harmonji pisze daléj — same Pilner, Pilauery i jeden Pilowsky. Słowem, zawiedziony powróciłem, a nazajutrz poszedłem na ratusz do księgi ludności. Tu Pilawskich i Piłowskich znalazłem dowoli, ale z zasięgniętych wiadomości od osób kompetentnych zdaje się, iż mało który z nich umie czytać i pisać, a żaden do wyższego towarzystwa zaliczyć się nie może. Najbogatszy z nich, który miał piękną, jak mówią, kamienicę z ogrodem przy Długiéj ulicy, umarł a nie umiano mi powiedzieć czy się w potomkach odrodził. Mogę ci więc zaręczyć, że tego rodzaju Pilawski o jakim mówisz w Warszawie nie istnieje, i że..

— Przepraszam hrabinę, ale tu Fiszer błędną poszedł drogą — protestuję.

Po zaprotestowaniu wyjąknął:

— „i że, i że twój Pilawski z Warszawy, wielkiego tonu, z tłomokami angielskiemi..

— Bom mu o tem wszystkiem pisał — dodał Surwiński.

— „z tłomokami angielskiemi nie może być kim innym tylko jakimś samozwańcem, awanturnikiem, kawalerem *di bona fortuna*, który na łatwowierność waszą galicyjską łapkę sobie zastawił i może udając wielkiego pana chce się bogato ożenić."

Złożył list zwolna dodając: — gdybym był miał rozum i możność posłać mu fotografję, nie byłby nigdy tego przypuszczenia uczynił bo dosyć spojrzeć na to szlachetne oblicze.

Hrabina nie odpowiedziała mu nic, zmierzyła go wzrokiem nadąsanym i rzuciwszy ręką wstała z krzesła.

— Panie Surwiński, rzekła w końcu — jeśli kiedy odżyje rzeczpospolita babińska, kreuję cię nauczycielem lakonizmu. Jesteś nudziarz jakiego świat nie widział ale wytrzymałeś mnie *sur la selette* jak nikt, trzy razy chciałam już list wyrwać z rąk i nadużyłeś cierpliwości niewieściéj na to, by mi przez usta Fiszera powiedzieć, że nic nie wiesz. Ale jesteś przedziwny.

— Jakto, nic nie wiem! ja nic nie wiem? wołał po napoleońsku zakładając ręce Surwiński, ja nie wiem nic? Ja? I pani, któréj umysłu trafność podziwiam zawsze, powiedzieć mi możesz, że ja nic nie wiem? A to mi się podoba! Już przecie jestem na tryumfalnéj drodze prawdy, wszystkie moje domysły się urzeczywistniają. Cóż to dowodzi, że takiego Pilawskiego nie ma tam? Oto to, że mój Pilawski jest incognito jakimś księciem lub hrabią. *Quod erat demonstrandum*, jak mawiali księża pijarowie, a co się dla pani tłomaczy czego właśnie chciałem dowieść.

— Ale koniec końcem cóż wiesz? co wiesz?

— Że to nie jest Pilawski daję gardło.

— Więc kto?

— Tajemnica! Czas okaże!

Rękę podniósł do góry hrabina przypomniała sobie rozmowę wieczorną na pikniku, wrażenie jakie pytanie jéj zrobiło i rzekła sobie w duszy:

— Miałżeby raz w życiu Surwiński więcéj domyślności od nas wszystkich?

Piknik drugi wypadł w czasie największéj słoty, ale nadzwyczaj świetnie: powóz i konie z hotelu Warszawskiego porozwoziły dopiero nad dniem gości do domu. Hrabina tańcowała tym razem tak, jak gdyby odtańcować pragnęła za połowę pierwszego. Pilawski stał w kącie z kapeluszem w ręku, w białych rękawiczkach. Wybrała go z dziesięć razy do różnych figur, ale słowa z niego żywszego dobyć nie mogła. — Lodowata zagadka! — rzekła ku końcowi wieczora, zaprosiwszy go do siebie na herbatę. — Mój Boże! — dodała zdala się nieznacznie przypatrując — a mimo tego zimna, ile życia i rozumu w tych oczach, ile szlachetności w postawie, jakie znalezienie się miłe, jaka uprzejmość dla wszystkich! I możeż być, abym do głębi téj duszy tak szczelnie zamkniętéj, dobyć się nie mogła? Nie zajrzała w nią i nie uleczyła, jeśli ją świat i życie za młodu zraniły?

Tegoż samego dnia przed piknikiem, na którym Domskich znowu nie było, Pilawski poszedł odwiedzić sąsiadki. Matka zawsze go jeszcze przyjmowała równie zimno i ceremonjalnie, lecz wynagradzała to Elwira, okazując mu wiele grzeczności, sympatji i coraz poufalszą przyjaźń. Sama Domska nie miała już tak wielkiéj obawy, bo się przekonała, iż Elwira postępuje z wielkim taktem, a młody człowiek wcale się tak natarczywie nie narzuca i nie zbliża, jak zrazu przewidywała.

— Czy pani tu dłużéj zabawisz? — spytał po chwili Gabriel.

— Dla czego pan się o to pytasz? — żywo podchwyciła, mierząc go oczyma Elwira.

— Bo... bo radbym panie tu jeszcze zastać, gdy powrócę — rzekł Pilawski.

— A dokądże i kiedy pan wyjeżdżasz?

— O wody niewiele mi idzie, przybyłem do Krynicy, nie tyle dla kuracji, jak dla spokojnego wypoczynku, korzystam ze zbliżenia się do Tatrów, ażeby je zwiedzić.

— I długo potrwa ta wycieczka? — zapytała, przerzucając książkę Elwira.

— Ja sądzę, że nie dłużéj nad dni dziesiątek — rzekł Pilawski. Elwira zwróciła się do matki, któréj oczy wzrok jéj spotkał.

— Sądzę że przynajmniéj tyle tu jeszcze zabawimy — odezwała się matka, jakby mimowoli, ulegając nieméj prośbie Elwiry.

— I bardzo nam miło będzie, doczekać tu pańskiego powrotu — dodała córka — bo nam opowiesz o Kościelisku, o Zakopanem, o Morskiem Oku i o wszystkich cudach tatrzańskiéj natury, któréj my, niestety, widzieć nie możemy.

— Zbiorę wszystkie moje wrażenia — uśmiechając się rzekł Pilawski — i przyniosę je na usługi pań.

— Sam pan jedziesz? — spytała Elwira.

— Dotąd towarzysza nie mam. Mój dawny kolega uniwersytecki, pan Albert, ma ochotę i waha się jeszcze, ja bądź co bądź — jadę.

O projekcie tego wyjazdu wcale jeszcze nie wiedziała hrabina. Dopiero w czasie pikniku, walcując z kuzynkiem Albertem, który mimo małego wzrostu, sławnym był tancerzem, odezwała się do niego:

— Na trzeci piknik, zamawiam cię do pierwszego walca.

— Tak, jeżeli powrócimy.

— A dokądże i z jakiem — *my* — jedziesz?

— Do Tatrów mnie ten nudziarz Pilawski ciągnie koniecznie. Już mi oddawna wstyd, żem jeszcze karku tu nie nadkręcił, tak jak na Montblanc, trzeba raz to odbyć, bo wreszcie pod Tatrami mieszkając wstyd przyznać, iż się tam nie było.

— A Pilawski kiedy jedzie?

— Pozajutrze.

Hrabina się zamyśliła, wśród kontredansa dała znak Pilawskiemu, ażeby się zbliżył.

— Piękny to z pana towarzysz na tem wygnaniu, odezwała się — bez pozwolenia, bez pytania, bez opowiedzi, wyruszasz sobie cichaczem...

— Któż to pani hrabinie powiedział?

— Skarżył mi się Albert na pański despotyzm, jeszcze i jego chcesz ztąd wyciągnąć.

— Sam mi się ofiarował.

— A pan chcesz koniecznie jechać?

— Postanowiłem sobie zwiedzić Pieniny i Tatry. Wszyscy jedziem do Szwajcarji, wszyscy dobijamy się na Montblanc, a choćby na Flegière, kto się wyżéj boi, trzebaż poznać Karpaty także. Tyle mówią o ich piękności.

Hrabina ruszyła ramionami.

— Pomówimy o tem jutro. Długo to czasu zabierze?

— Sądzę, że nie więcéj nad dni dziesięć.

Figura w kontredansie nie dozwoliła dalszéj rozmowy. Nazajutrz Pilawski już był upakowany do drogi, konie najęte. Albert jeszcze się wahał. Zeszli się na herbacie u hrabiny, która przyjęła Pilawskiego jakoś nienaturalnie poważna i zamyślona.

— A cóż, jedziesz? — spytała Alberta.

— Doprawdy, nie wiem — odparł praktyczny młodzieniec — z jednéj strony należałoby, z drugiéj okrutnie mi się nie chce. Wcale co innego jest zwiedzać góry szwajcarskie, tyrolskie, Alpy i Apeniny. Wszędzie są porządne hotele, jadło, przewodnicy, a chociaż o Tatrach wiadomości zbyt szczegółowych nie mam, — dodał, — mogę zaręczyć za to, że o chlebie razowym i mleku, lub serwatce podróż odbywać potrzeba.

— I to się nazywa młodym! — zawołała hrabina wstając żywo. — Lękać się o materac wygodny i sztukamięsa, a nie chcieć widzieć nic, nie zapalić się...

— Za pozwoleniem, — przepraszam — rzekł Albert, — ja się nigdy nie zapalam, masz tego pani najlepszy dowód, gdym się od jéj pięknych oczów niepotrafił rozpłomienić.

— Komplementem mnie nie zbędziesz — ofuknęła hrabina, i podstąpiła do Pilawskiego.

— Panie Gabrielu, weźmiesz nas pan z panną Salomeą do Tatrów?

Pilawski osłupiał. — Jeżeli pani każe — przebąknął zmieszany — lecz dla pań to w istocie droga może być nie nazbyt przyjemna, a bardzo niewygodna.

— A! toż przecie raz w życiu i niewygody potrzeba sprobować — odezwała się hrabina.

— Jeśli hrabina jedzie to... i ja — rzekł Albert.

— Kiedy ruszamy? Jutro?

— Jam się wybierał jutro.

— Służę panom — dokończyła hrabina, — podając rękę Pilawskiemu — jedziemy. Gdzie dojdzie mój powóz i konie, mamy je, gdzie nie można powozem, dojedziemy na góralskich wózkach, gdzie one nie chodzą, pójdziemy piechotą.

Albert ramionami ruszył.

— Byle się to nie skończyło na zapaleniu płuc lub febrze — rzekł poważnie.

— Więc zostań i obwiń się w bawełnę — zaśmiała się hrabina — my jedziemy.

Stojący bliżéj dosłyszeli, nie chcąc uszom swym wierzyć, że hrabina wybierała się od trzeciego pikniku, od towarzystwa całego, otaczającego czcią i hołdami, na tatrzańskie łomy, i to tak nagle, tak niespodzianie, tak prawie nieprzyzwoicie w towarzystwie czyjem... pana Pilawskiego. Wszyscy otoczyli kołem panią Emilję, a szczególnie gospodarze pikniku, dla których strata hrabinéj groziła, że się ów trzeci, a największy dotąd obiecujący, nie uda. Pani, a czyż się to godzi!

— Pani chyba żartuje. Ale któż się tak późno do Tatrów wybiera, koniec lipca, lada chwila spaść mogą śniegi. Rok słotny!

Tak wołali otaczający, pani Palczewska ruszała ramionami, milczała, słuchała, a nareszcie wysłuchawszy, odparła zimno: — jedziemy!

Wiedzieli wszyscy, że się p. Gabriel także wybrał do Tatrów, — nagłe to postanowienie hrabinéj spowodowane wyraźnie jego wyjazdem wiele dało do myślenia. Już dawniéj krzywem nań spoglądano nieco okiem i wiele obudzał zazdrości we współzawodnikach; po tym wieczorze wszyscy wyszli obrażeni tem szczęściem. Ponieważ u Aksakowicza świeciło się jeszcze, zaszli do niego.

Greifer nie krył się ze swem nieukontentowaniem i oburzeniem przeciwko intruzowi, hr. Żelazowski mu potakiwał, Hamermann także, słowem wszyscy aż do p. Porfirego, i aż do Alberta, który jechać musiał, a klął fantazję kuzynki. Ta uraza do Pilawskiego wybuchnęła tu dopiero z całą siłą, — żywiona wprzódy tajemnie.

Aksakowicz, D. Werner i Dormund grali w wista, gdy goście weszli tłumnie, gwarząc i hałaśliwie rozprawiając.

— Co wam tam takiego? — zapytał gospodarz, — czego tak burczycie?

— Sam bądź sędzią — odparł Greifer. — Słyszaneż to rzeczy! ten Pilawski ze swą miną pańską i tajemniczą, ze swą pedanterją i angielską elegancją, komediant jakiś wszystkie nam kobiety bałamuci. Nie dziwił bym się staréj Ormowskiéj, bo téj dosyć ładnéj twarzy, aby mieć u niéj łaski, nie dziwię się innym, tłomaczę panny, które się za mąż chcą wydać, — ale pani hrabina, pani hrabina!

— Cóż się stało? — zapytał Aksakowicz.

— Jedzie z nim przed naszym piknikiem, w Tatry! Wczoraj nie było projektu nawet, dziś dla tego, że on się wybiera i ona rusza.

— No, no, — ale bo mi raz powiedziecie, ozwał się poważnie hrabia Żelazowski — cóż to za ryba? Co za ryba? Nikt go ostatecznie nie zna... Albert z nim chodził na uniwersytet, ale nie wie nic, prócz że bogaty. Może żyd? Któż go wie. Na honor, że to jest skandaliczne.

Albert się odwrócił.

— Że nie żyd i że katolik to wiem z pewnością, rzekł — ale więcéj nic. Czy bogaty? tak się zdaje przynajmniéj.

— Ale któż? co, i zkąd? Nikt nigdy o żadnym Pilawskim nie słyszał, — któż go rodzi? — dodał hr. Żelazowski.

— Już o to zresztą mniejsza, — podchwycił Greifer, który genealogji zbyt głęboko sięgających nie lubił, — ale cóż znowu w tym człowieku tak osobliwego *so hervorragendes*, że się tak wysłowię. Przyzwoity, ale pospolity sobie — ani z powierzchowności, ani z dowcipu.

— Zachciałeś, — zawołał Albert, — nie znasz kobiet, im, aby co nowego a tajemniczego, najprędzéj się zawsze podoba. Tak i z nim.

— Mnie on — niecierpliwi — dodał hr. Żelazowski.

— Mnie też — rzekł Greifer — jest nieznośny z tą swą grzecznością i chłodem. Nigdy z niego nie będziesz otwartego słowa, zawsze zapięty na wszystkie guziki, — tajemniczy, wyprostowany, zimny, sztywny, — i gdyby człowiek chciał się do niego przyczepić — nie można.

— A nasze towarzystwo — rzekł Żelazowski — jakby mu niesmakowało. Uważacie, jak się ciągle trzyma zdaleka, każe się prosić.

— Wiecie co, wtrącił Aksakowicz stojący z kartami w ręku i nierad, że mu wista przerwano — napijmy się po kieliszku i niech go tam licho nie bierze. Czasu nie trzeba tracić, my robra musimy skończyć.

Stało się po woli gospodarza, ponalewano kieliszki, wist ciągnął się dalej, lecz w kupce nie zajętych grą, rozmowa o Pilawskim i cenzurowane ciągnęło się dalej. Nawet Albert go nie bronił.

— Mów ty sobie, co chcesz — zakończył Grejfer, to jakiś awanturnik. Tak się nie przyjeżdża do nieznajomego kąta, zasłaniając twarz, kryjąc z tem, czem się jest. Ja wam daję słowo, coś się krzywego okaże.. ale zapóźno.

Hrabina miała wolę niezłomną, gdy raz wydała wyrok musiała się spełnić, co postanowiła. Pomimo uwag woźnicy i kamerdynera, którzy o dwadzieścia cztery godziny folgi prosili, zapowiedziała, że wyjedzie nazajutrz i wszystko musiało być gotowem. Albert, przeklinając Pilawskiego, zapakował się z najpotrzebniejszem do podróży, i ciągnął za kuzynką. Na chwilę Greifer także miał myśl towarzyszenia im, lecz rozmyśliwszy się nieco — pozostał.

Nie miał najmniejszéj nadziei, ażeby u hrabiny odzyskał dawną, chwilową łaskę, w Krynicy zaś zostawała mu pani i panna Domska, a na którą okiem był rzucił — i u której był już na zwiadach, parę razy.

Spodziewał się, że go pani Jaworkowska tam poleci jak najlepiéj, a był z ich domem w jak najlepszych stosunkach.. Przed wyjazdem około południa p. Gabriel poszedł raz jeszcze pożegnać pannę Elwirę, a nieznalazłszy jéj w domu i dowiedziawszy się, że jest z matką w lasku nad źródłem, pobiegł tam, chcąc zyskać chwilę rozmowy. Powiodło mu się dosyć szczęśliwie, pani Domska siedziała opodal na ławce, córka chodziła sama w uliczce. zszedłszy się z nią, mógł sam na sam pomówić bez przeszkody.

— Daruj mi pani, że aż tu gonię, aby jeszcze pożegnać i usłyszeć pocieszające dla mnie do widzenia i zapewnienie, że panie zastanę i zobaczę. Podróż moja nadspodziewanie inaczéj się wcale złożyła, niż sądziłem, szczerze mówiąc daleko mniéj przyjemnie, niż ja ją zaweześnie układałem. Fantastyczna hrabina i jéj kuzyn Albert naparli się jechać razem. Zamiast więc wyprawy do Tatrów, będzie to...

Spuścił głowę i nie dokończył.

— Ależ to pana cieszyć powinno — przerwała sucho jakoś Elwira — towarzystwo tak miłe, osoba tak wesoła i dowcipna.

Pilawski podniósł czoło, spojrzał i uśmiechnął się.

— Nie lubię, rzekł po chwili, kobiet ekscentrycznych. Boję się tak dowcipnych, nie rozumiem tak wesołych słowem, powiem pani szczerze, to bóstwo nigdy mojem nie będzie.

Twarz Elwiry wyjaśniła się widocznie, uśmiech przeleciał po ustach. Oczy Gabriela dopowiedziały coś więcéj — zamilkli.

— A tak mi smutno, tak straszno ztąd odjechać! dodał zniżając głos Gabriel, — muszę się przyznać, lękam się, bym jakim nieszczęśliwym trafem nie został wstrzymany, a panie znowu nie pospieszyły tam, gdzieś.. w te oddalone strony, w których ja myślą nawet szukać ich nie potrafię.

— Przecież prędzéj, późniéj trzeba sobie powiedzieć — do niewidzenia! rzekła Elwira nie patrząc.

— A, prawda! a jednak zdaje się to — daruj mi pani, gdy się dla kogoś prawdziwą, gorącą powzięło sympatję, prawie niepodobnem. Nie mogę temu uwierzyć, ażebym ja pań nigdy nie widział więcéj, i żeby ta droga dla mnie znajomość była tylko darowaną, krótką, jasną chwilą życia bez dalszego ciągu..

Elwira milczała, szli zbliżając się ku pani Domskiéj, jakby oboje zgodnie przedłużyć chcieli pochód ten nadzwyczaj powolnie. Gabriel stanął parę razy, Elwira się zatrzymała pod pozorem, że jéj się zdało, iż córeczkę pani Jaworkowskiéj zobaczyła.

— Uczyń mi pani tę nadzieję raz jeszcze, że ja tu panie zastanę, odezwał się Gabrjel błagająco — a w każdym razie i tę drugą jeszcze, że jeśli szczęśliwy los dozwoli mi kiedy odszukać panie na świecie, znajdę u nich.. jak dawny znajomy, łaskawe, pobłażliwe, przyjęcie.

— Bądź pan pewny — cicho szepnęła Elwira, że z Krynicy najmilszem dla mnie wspomnieniem będzie towarzystwo pana, lecz, (zawahała się) — jako szczerze życzliwa mu, pozwól, bym dodała — nie szukaj nas pan nigdy. Mam powody, dla których.. nie chcę, byś nas znalazł. Pragnę w jego pamięci zostać taką nieokreśloną postacią, jaką tu byłam.

Wyrazy te niezrozumiałe zdziwiły p. Gabrjela.

— A, pani, przerwał — gdziekolwiek bym pa nie znalazł i cokolwiek by mi przecierpieć przyszło dla tego szczęścia — na wszystko jestem gotowy. Tu przerwał chwilę, — niestety! dodał cicho — ja to podobno.. w tak dziwnem znajduję się położeniu wyjątkowem, że ono mi nikomu otwartéj nie dozwala podać dłoni..

Z kolei Elwira była zdziwioną i nie mogła sobie tych słów wytłomaczyć. — Lecz, któż wie, dorzucił Pilawski, zmienić się mogą okoliczności, — będę się starał o to.. naówczas.. pani.. proszę wierzyć.. szukać ich muszę i znajdę. Pani Domska zdała *patrząc* na tę rozmowę, zdawała się być niespokojną.

— Pozwól mi pani otwartszym być jeszcze, wyciągając rękę ku dłoni Elwiry zawołał Pilawski — Jeśli w mem położeniu zajdzie zmiana, która by mi pozwalała bez obawy z podniesionem czołem szukać pani, czy mi tego za złe nie weźmiesz, czy mogę mieć nadzieję?..

Elwira szybko wyrwała mu dłoń, krew oblała jéj twarz.

— Ani słowa więcéj, ani słowa! rzekła pospiesznie, jestem zmuszoną panu wyznać, co mnie kosztuje, że na życzliwość moją, na przyjaźń rachować pan możesz, ale w mojem życiu i bycie są przeszkody, które usunięte być nie mogą, a skazują mnie bym.. (głos jéj zacichł — dodała po przestanku).. zawsze została.. samą.

Chciała iść ku matce, Pilawski wstrzymał ją natarczywie, twarz jego promieniała. — Pani, tylko słowo jedno, zachowaj mi tę życzliwość, — resztę zrzuć na barki moje. Nie ma na świecie, czego by silna wola i szczere przywiązanie przemódz nie mogło.. byle.. bylem ja.. mógł tak czysty stanąć przed panią, jak.. jak pragnę..

Ostatnie wyrazy były znowu dziwnie zagadkowe dla Elwiry, milcząc podała mu rękę.

— Zostawmy losom przyszłość, a teraźniejszość niech się nie truje przewidywaniem daremnem. Któż pewien przyszłości.. Do widzenia czy do niewidzenia, będziemy sobie przyjaciołmi, panie Gabrjelu..

Pani Domska niecierpliwie wołała ich oczan[illegible] Pilawski, który głowę i przytomność stracił, widz[illegible] że Elwirze wśród téj rozmowy rękawiczka upad[illegible] schylił się szybko, podniósł ją i nie zważając [illegible] matkę, udał, że oddaje, ale bardzo zręcznie schowa[illegible] do kieszonki na piersiach. Było to po studenck[illegible] lecz w téj chwili oboje się czuli tak młodemi. E[illegible] wira nie sprzeciwiała się. Pilawski podziękow[illegible] wzrokiem. Zdawało mu się, że się tą pochwycon[illegible] rękawiczką zaręczył, że ona była znamieniem d[illegible] snéj przysięgi. Razem zbliżyli się ku pani Do[illegible] skiéj, która z wymówką spoglądała dawno [illegible] córce.

— Cóżeście państwo tam tak długo rozprawia[illegible] spytała.

— Opowiadałem pannie Elwirze, pospieszył P[illegible] lawski, o mojem nieszczęściu. Zamiast sam jecha[illegible] do Tatrów, skazany jestem służyć za kurjera i prz[illegible] wodnika.

— Ale dla tak pięknéj pani!

Gabrjel ruszył lekko ramionami.

— Przychodzę panią dobrodziejkę pożegnać — d[illegible] kończył, i prosić, abym tu jeszcze mógł przywita[illegible] W takim razie, możeby mi wolno było, poniewa[illegible] wojna zapewne się przedłuży, służyć paniom za k[illegible] rjera i przewodnika w podróży, coby mi tysiąc ra[illegible] większem było szczęściem.

Pani Domska zesznurowała usta, skłoniła głow[illegible] grzecznie, ale w duchu powiedziała sobie: — Ot, ni[illegible] z tego, kochany panie, postaramy ci się uciec[illegible] abyś mi córki nie bałamucił.

— Co do naszéj podróży — odezwała się cicho [illegible] jeszcze nic stanowczego powiedzieć nie umiem, o [illegible] tylu to okoliczności jest zależnem...

Pilawski się skłonił, spojrzał na Elwirę, kt[illegible] stojąc za matką i nie obawiając się być spostrzeżon[illegible] dała mu głową znaki poufałego pożegnania, a z [illegible] w ulicy pod górą słychać już było wrzawę towarzy[illegible] szącą hrabinie wybierającéj się w drogę, i przepro[illegible] wadzanéj do Żegestowa przez całą młodzież miej[illegible] scową, musiał co prędzéj pospieszyć.

W istocie hrabina na wysłanym paradnie wózk[illegible] góralskim już siedząca, z nieodstępną panną Salo[illegible] meją, rozsyłała cały dwór po pana Gabrjela, niepoj[illegible] mując téj niesubordynacji i nie przybycia w termi[illegible] nie, konie i powóz szerszemi drogami wyprawiono d[illegible] Lipnik, hrabina zaś i całe towarzystwo malownicza[illegible] ścieżyną na Muszynę, wpław przez Poprad, ruszal[illegible] do Żegestowa. Dzień był prześliczny, młodzież, mimo boleści rozstania się z królową, bardzo wesoła. Posiadano na wózki i śmiejąc się, nawołując ruszyli wszyscy kawalkatą długą ku Jędrzejowéj. Krajobraz zaraz za Krynicą rozszerzył się, wzgórza okryte drzewami, wioski, strumienie czyniły go dosyć malowniczym. Na wózku hrabiny na przodzie siedział Albert tylko. Pilawskiemu udało się zająć osobno miejsce z dwoma towarzyszami i nieroztargnionemu rozmową, zamyślać się o tem, co nazywał.. swem szczęściem.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg)

— Ludzie którzy muszą sami się dorabiać, odrzekł Dombey patrząc ciągle na syna, i nie zważając zatem na tajemnicze znaki dawane mu przez kapitana, stojącego za Walterem, — lepiéj czynią pamiętając o własnych zobowiązaniach, niż gdy pogorszają swe położenie dla korzyści drugich. To ostatnie jest nietylko w takim razie nieuczciwością, ale i dowodem zuchwałego zarozumienia — dodał, wymawiając te dwa wyrazy bardzo surowo. Powiadam zarozumienia, gdyż człowiek bogaty nic więcéj nie może w takim razie uczynić.

Tu zamilkł, zachowując na twarzy wyraz wyniosłéj powagi. Po chwili rzekł do syna:

— Pawle, chodź tu bliżéj.

Dziecię usłuchało, Dombey wziął je na kolana i rzekł:

— Gdybyś miał w téj chwili pieniądze... Ale patrz no na mnie, Pawle.

Chłopczyk którego oczy przebiegały nieustannie od Waltera do Florci, spojrzał w twarz ojcu.

— Gdybyś miał w téj chwili tyle pieniędzy, ile ich Walter potrzebuje, rzekł do niego Dombey, cóżbyś z niemi zrobił?

— Dałbym je staremu jego wujowi, odparł Pawełek.

— To jest — pożyczyłbyś mu je — poprawił go Dombey. Jak dorośniesz — już ci to nieraz mówiłem, podzielę się z tobą mojemi pieniędzmi i będziemy ich używali jako wspólnicy.

— Dombey i Syn — dodał Pawełek, już nauczony słów tych na pamięć.

— Tak jest — Dombey i Syn, powtórzył ojciec, — a czy chciałbyś zacząć od dzisiaj być moim wspólnikiem i jako taki pożyczyć pieniądze wujowi Gaya?

— O chciałbym ojcze, a także i Florcia bardzoby tego chciała.

— Córki, odrzekł Dombey, nie mają nic wspólnego z firmą Dombey i Syn. Czy chcesz mu pożyczyć te pieniądze?

— Chcę ojcze — bardzo chcę.

— A więc uczynisz to Pawle, i tym sposobem — dodał zniżając głos nieco, przekonasz się,— co może pieniądz i jak nieraz trudno o niego. Oto widzisz, młody Gay przybył tu z daleka prosić o tę sumę, a ty jako człowiek bogaty i wspaniały, dajesz mu ją i tem wyświadczasz mu łaskę niemałą.

Pawełek słuchał ojca z wyrazem twarzy człowieka dojrzałego, dokładnie rozumiejącego każde jego słowo. Ale twarz jego stała się znowu całkiem dziecinną, gdy po chwili zsunąwszy się z ojca kolan, pobiegł rozpromieniony powiedzieć Florci, żeby już nie płakała, gdyż Gay dostanie potrzebne mu pieniądze.

Dombey napisał coś na kartce, włożył ją w kopertę i zapieczętował. Florcia i Pawełek rozmawiali tymczasem po cichu z Walterem, a kapitan przepełniony radością przypatrywał się im, snując w głębi ducha myśli tak zuchwałe, że z pewnością Dombey uwierzyćby nawet nie potrafił ich istnieniu. Gdy list był gotów, bankier oddał go Walterowi, mówiąc:

— Doręcz to jutro jak najwcześniéj Carkerowi; daję mu polecenie, aby się zaraz zajął wypłatą wekslu twojego wuja; — co zaś do zwrotu téj zaliczki, ma się z nim ułożyć w sposób zastosowany do jego możności. Ty zaś Walterze, wiedz o tem że pomienioną pożyczkę otrzymujesz od pana Pawła.

Walter wzruszony do głębi duszy myślą, że już trzyma w ręku ocalenie wuja, nie znajdował na razie słów do wyrażenia swéj wdzięczności. Zanim zdołał przemówić, Dombey odezwał się znowu:

— Pamiętaj, że pożyczkę tę otrzymujesz od pana Pawła; on także wie o tem i dobrze to rozumie. A teraz, bywaj zdrów, dosyć już o téj sprawie.

Widząc Dombeya postępującego ku drzwiom, Walter uczuł że pora mu już odejść. Gdy się do tego zabierał wraz z kapitanem, panna Tox, wzruszona aż do łez wspaniałomyślnością Dombeya, uznała za stosowne odezwać się do niego temi słowy:

— Przepraszam pana że się ośmielę wspomnieć o rzeczy, która z powodu wzniosłości pańskiego charakteru i stanowiska, uszła jego uwagi, jako zbyt mało znacząca.

— O czem chcesz pani mówić? spytał Dombey.

— Ten oto gentleman, rzekła panna Tox wskazując kapitana, położył na stole niektóre przedmioty, podczas gdy pan byłeś czem innem zajęty...

— Ależ na miłość Boga — przerwał Dombey zmiatając ręką i odsuwając od siebie jakby to były naprawdę okruchy, kosztowności kapitana— zabrać mi to zaraz. Dziękuję pani za tę uwagę, nosi ona cechę zwykłéj pani delikatności. Proszę pana, zabierz mi ztąd zaraz to wszystko.

Kapitan Cuttle zrozumiał że nie pozostawało mu jak spełnić ten rozkaz. Uczuł się wszelako tak zachwycony wspaniałością, z jaką Dombey odmawiał przyjęcia skarbów które były przed nim nagromadzone, że gdy je napowrót powkładał do swych kieszeni, nie odmówił sobie przyjemności uściśnienia jedyną swą ręką, ręki bankiera, przyciskając ją serdecznie haczykiem w dowód najwyższego uwielbienia. Zimne dotknięcie stali w połączeniu z wrażeniem téj poufałości, wywołało u Dombeya dreszcz po całem ciele.

Wychodząc, kapitan nie omieszkał pożegnać pani w sposób bardzo zalotny, dotykając ust haczykiem i pozdrowić uprzejmie oboje dzieci. Florcia uradowana do najwyższego stopnia, chciała pobiedz za nim żeby mu dać jakieś polecenie do starego Sola, ale Dombey rozkazał jéj pozostać na miejscu.

— Czyż nigdy nie potrafisz być godną córką twego ojca? rzekła do niéj ciotka z wyrazem żałosnego wyrzutu.

— Moja droga cociu, odpowiedziała Florcia, nie gniewaj się na mnie. Jam taka szczęśliwa, taka wdzięczna ojcu!

Byłaby chętnie pobiegła go uściskać, ale się na to nie odważyła; patrzała tylko na niego z wyrazem tkliwéj wdzięczności. Dombey spoglądał niekiedy na nią z nieukontentowaniem, ale uwaga jego była bardziéj zwrócona na Pawełka. Śledził z upodobaniem ruchy dziecka, przechodzącego się po pokoju z powagą do któréj poczuwał się być w prawie, odkąd komuś pożyczył pieniędzy.

Cóż się tymczasem działo z Walterem? Oto przepełniony radością wracał do Londynu, nie mogąc się jeszcze oswoić z myślą, że niedaléj jak jutro wszelkie kłopoty stryja będą miały koniec, że go znowu zobaczy gwarzącego wesoło po dawnemu z kapitanem, i całkiem już spokojnego o dalsze losy drewnianego miczmana. Z tem wszystkiem, jakkolwiek Walter czuł głęboką wdzięczność dla Dombeya, w duszy jego cały przebieg téj sprawy pozostawił przykre jakieś wrażenie, którego wyraźnie sam określić nie umiał. Być może iż teraz dopiero uczuł, jak wielka przestrzeń oddzielała jego ubóstwo od świetnego stanowiska jego dobroczyńcy i że się dokładniéj potrafił rozpatrzeć w swych mglistych marzeniach w chwili, gdy je ujrzał rozwiane. Byłoż podobna siostrzeńcowi biednego Gillsa, uratowanego od zguby tylko miłosierdziem Dombeya, przypuszczać choćby w najdalszéj przyszłości możliwość zbliżenia do córki tego mocarza?

Co zaś do kapitana, ten zapatrywał się na rzecz całą zupełnie z odmiennego stanowiska. W jego przekonaniu, spotkanie którego był świadkiem, miało cechę tak zachęcającą do dalszych stosunków, że je uważał niejako za pierwszy krok ku przyszłemu a niechybnemu połączeniu Waltera z Florcią. Hojność okazana w tym razie przez Dombeya, dodawała też kapitanowi nie mało otuchy. Przekonany że z czasem wszystko musi pójść jak najlepiéj, do tego uradowany myślą bliskiego uspokojenia przyjaciela, czuł się przez całą drogę tak rozweselony, iż nie przestawał nucić ballady o pięknéj Dorze, którą dowolnie przezywał Florą, i tak śpiewając wrócił do domu, zapomniawszy nawet na ten raz o grożącem mu spotkaniu z wdową Mac-Stinger.

XI.

Pawełek wstępuje na nową widownię.

Jakkolwiek zdrowie pani Pipchin było pod wielu względami dosyć wymagającem, jak o tem wyżéj było wspomniano, posiadało ono jednak stopień wytrwałości, którego nie przewidziały posępne przepowiednie pani Wickam, tak iż z upływem czasu, niepodobna było w niem dostrzedz żadnych oznak uszkodzenia. Niemniéj jednak, Wickam obstawała przy swojem i zapewniała Berithę, że lada dzień jéj ciotka przejdzie się na mogiłki, ani się nawet z nikiem niepożegnawszy.

Biedna dziewczynka przygotowała się ze smutkiem do owéj ciężkiéj chwili, pracując tymczasem wszystkiemi siłami dla dogodzenia ciotce, którą w szczerości ducha miała za najzacniejszą w świecie i godną wszelkich poświęceń osobę. Wszyscy sąsiedzi i znajomi pani Pipchin dzielili to przekonanie, i kiedy pewnego razu odrzuciła z wielką pogardą oświadczyny kupca starającego się o rękę Berithy, każdy przyznał że postępek ten przyniósł zaszczyt ciotce dbałéj o przyszłość siostrzenicy, tak jak był też całkiem odpowiedni stanowisku osoby, któréj mąż zakończył życie w kopalniach Peruwiańskich. Wspominając o owym kupcu, a był to kupiec korzenny, winniśmy nadmienić, że podawane przez niego rachunki bywały zwykle roztrząsane pomiędzy nim i panią Pipchin w sposób tak tajemniczy, iż obudzał nie małe podejrzenia u małego Bitherstona. Ale prawdopodobnie chłopak ów musiał mieć krew wzburzoną wpływami palącego klimatu Indji, skutkiem czego wszędzie wypatrywał fałszywe wagi, stęchłą herbatę i inne tym podobne rzeczy — jemu tylko wiadome. Biedna Beritha tonęła we łzach przez jakie sześć tygodni, straciwszy jedyną może w życiu sposobność, uniknienia smutnéj doli staréj panny. Ale w zamian za to poczciwa ciocia dawała jéj coraz wyraźniejsze dowody zaufania, zwiększając z dniem każdym brzemię jéj obowiązków.

— Czy Beritha bardzo panią kocha? spytał pewnego dnia Pawełek pani Pipchin, podczas gdy w towarzystwie kota siedzieli oboje przy kominku.

— Bardzo, odpowiedziała.

— A za co? spytał znowu Pawełek.

— Za co? powtórzyła pani Pipchin nieco zmięszana. Jakże się można pytać o coś podobnego! Za cóż naprzykład kochasz siostrę, panie Pawle?

— Za to że jest bardzo dobra, że nie ma na świecie nikogo tak dobrego.

— Nie ma też nikogo takiego jak ja — rzekła sucho stara — tak mi się zdaje przynajmniéj.

— Tak się pani zdaje? Czy doprawdy nie ma? spytał Pawełek wychylając się z krzesełka i przypatrując się jéj z wielką uwagą.

— Nie ma, odpowiedziała.

— Bardzo się z tego cieszę, rzekł Pawełek zacierając sobie ręce z wyrazem zastanowienia, — doprawdy, rzecz to wyśmienita.

Pani Pipchin nie odważyła się zażądać wyjaśnienia tych dziwnych wyrazów, ale przez resztę dnia pozostała w nader przykrem usposobieniu, co się odbiło na małym Bitherstonie w sposób tak dotkliwy, że mu już wreszcie życie obrzydło i że tegoż wieczoru postanowił nieodzownie wybrać się lądem do Indji, ku czemu nawet rozpoczął przygotowania, chowając kawałek chleba i spleśniałego sera od kolacji pod poduszkę, na początek podróżnego zapasu.

Pawełek pozostał z siostrą u Pani Pipchin prawie przez rok cały; w ciągu tego czasu dzieci były parę razy w Londynie u ojca na dni kilka, ten zaś odwiedzał je ciągle co tydzień w Berighton. Stopniowo Pawełek wzmocnił się o tyle, że się już mógł obchodzić bez wózka na przechadzce, z tem wszystkiem było to zawsze dziecię wątłe i mizerne, z wyrazem twarzy spokojnie zadumanym, i uderzającym przedwczesną dojrzałością.

Pewnéj soboty o zmroku, stał się wielki zamęt w domu pani Pipchin, skutkiem nieprzewidzianych odwiedzin Dombeya; zwykle bowiem, przybywszy do Brigthon przysyłał po dzieci z hotelu. Mała gromadka zebrana w pokoju, w którym miał być ów gość przyjęty, została wyprawiona na górę z taką szybkością, iż zdawało się że ją huragan jaki wymiótł. Przez kilka minut słychać było rozgłośne stąpanie i drzwi zamykanie, ale niebawem zapanowała w mieszkaniu cisza uroczysta i pani Pipchin obdarzywszy po drodze parą kułakami małego Bitherstona ku ulżeniu własnemu zakłopotaniu, weszła w swéj mroczo czarnéj szacie do pokoju, w którym już na nią czekał Dombey, ze wzrokiem utkwionym w nie zajęte krzesełko swego syna i spadkobiercy.

— Witam panią — rzekł z ukłonem — jakże zdrowie?

— Dziękuję panu, odpowiedziała pani Pipchin, mam się dosyć dobrze, względnie mówiąc.

Ostatnie te słowa odnosiły się do cnotliwego żywota téj zacnéj pani, do jéj trudów nieustannych i poświęceń, które mając na względzie, można było jeszcze uważać jéj zdrowie za dobre.

— Nie mogę się spodziewać abym była kiedykolwiek całkiem zdrową, dodała pani Pipchin siadając jakby dla wytchnienia. W każdym razie, wdzięczną panu jestem z serca za jego pamięć.

Dombey odpowiedział protekcyjnem skinieniem głowy człowieka, który wie ile płaci kwartalnie za podobne objawy wdzięczności. Po chwili milczenia, rzekł:

— Winienem zawiadomić panią, żem się tu wybrał dla zasięgnięcia jéj rady, co do mojego syna. Czekałem z tem dotąd, chcąc go widzieć silniejszym na zdrowiu. Czy jesteś pani obecnie już całkiem w tym względzie spokojną?

— Powietrze tutejsze okazało się w tym razie nader zbawiennem, odpowiedziała pani Pipchin, doprawdy — nadspodziewanem.

— Mam też zamiar, aby syn mój i nadal pozostał w Brighton, rzekł Dombey.

Pani Pipchin zatarła ręce i zwróciła na ogień szare swoje oczy.

— Wszelako — ciągnął dalej Dombey — uważam za stosowne, aby odtąd syn mój wszedł w inny już okres, aby tryb życia jego został zmieniony. To jest właśnie celem moich odwiedzin. Syn mój przychodzi do sił, wyraźnie już ich nabiera.

Zadowolenie z jakiem Dombey wymawiał te słowa, nie zdjęło jednak z jego twarzy pewnego wyrazu troski, który zdradzał z jak niecierpliwym niepokojem patrzał na przebieg dziecinnych lat Pawełka, i jak dalekiem było jeszcze spełnienie świetnych nadziei, które pokładał na tem dziecięciu.

— Ma już sześć lat skończonych — mówił daléj — poprawiając swój sztywny kołnierz, może dla ukrycia mimowolnego uśmiechu wywołanego tem przypomnieniem. Ale uśmiech ów chwilowo zbłąkany na jego twarzy, znikł z niéj niebawem jakby nie znalazłszy gdzie się zatrzymać na téj marmurowéj powierzchni; — tak, sześć lat skończonych, a z tych sześciu zrobi się szesnaście, zanim się obejrzymy.

— Dziesięć lat! to spory kawał czasu — mruknęła kiwając głową pani Pipchin i zimna iskierka zabłysła w jéj zamarłem wejrzeniu.

— Rzecz to względna — odparł Dombey. W każdym razie jest pewnem to, że na wiek swój syn mój jest nieco zacofany w naukach, jakkolwiek nie mniéj jest pewnem, że powinien by w nich przodować swoim rówiennikom. Wysokie stanowisko czeka to dziecię, ma je gotowe pod ręką na zawołanie; nic tu nie zależy od losu, nie ma nic wątpliwego w zawodzie stojącym przed nim otworem. Zanim syn mój się narodził, już droga jego życia była nakreślona i wygładzona — słowem, całkiem gotowa. Wykształcenie młodego gentlemena znajdującego się w podobnych warunkach nie powinno być opóźnianem, ani też niedokładnem. Należy zabrać się do téj pracy z zastanowieniem i dopełnić jéj z należytą wytrwałością.

— Podzielam całkiem zdanie pana w tym względzie, odpowiedziała pani Pipchin.

— Nie wątpiłem iż osoba tak rozsądna jak pani, zechce i będzie musiała je podzielać, rzekł Dombey z przychylnem zadowoleniem.

— Prawiono i pisano wiele niedorzeczności o udoskonaleniu wychowania dzieci, rzekła pani Pipchin ośmielona tem powodzeniem; co do mnie, mam w tym przedmiocie moje niezmienne zasady. Karność i praca — wszystko na tem polega.

— Ogólne uznanie jakiem się pani cieszy, mówił daléj Dombey, jest wymownym dowodem jéj zdolności w tym zawodzie; nikt ich bardziéj ode mnie nie ceni. Będzie mi zatem przyjemnem polecić każdemu zakład pani, jeśli tak mało znacząca rekomendacja jak moja, może mieć jakie znaczenie.

Nawzajem mówiąc, Dombey nie wydawał się nigdy bardziéj pysznym i zarozumiałym, jak gdy w ten sposób udawał pokorę.

— Ale wracając do rzeczy — rzekł po chwili — mam na widoku zakład naukowy doktora Blimbera...

— Mojego sąsiada, dodała pani Pipchin. Zapewne, jest on wybornie urządzony; karność tam wzorowa i nauka trwa od rana do wieczora, a przytem bywa udzielaną w sposób bardzo korzystny.

— I bardzo kosztowny — dorzucił Dombey.

— Tak jest — bardzo kosztowny — powtórzyła pani Pipchin, podnosząc tę zaletę, jakby ją do głównych swego zakładu zaliczała.

— Widziałem się już z doktorem, mówił daléj Dombey, przysuwając się nieco do ognia. Nie znajduje on wcale Pawła za młodym; powiadał mi że nie jedno dziecko jego wieku uczy się już greckiego języka. Nie ma zatem z téj strony żadnéj trudności, istnieje jednak inna, mało znacząca wprawdzie, ale względem któréj radbym wszelako z panią się rozmówić. Syn mój, ponieważ chował się bez matki, zbytecznie może do siostry się przywiązał...

Nie wiem czy to rozłączenie...

Tu Dombey zamilkł i patrzał w ogień zamyślony.

— Dzieciństwo to, dzieciństwo, rzekła sucho pani Pipchin, potrząsając swą czarną suknię jakby się nią wachlowała, — jeśli się Florci nie podoba to rozłączenie, to ją z niem oswojemy.

To mówiąc, pani Pipchin podnosiła brwi i potrząsała głową w sposób, któryby dreszczem przejął najzuchwalsze dzieci. Dombey popatrzał na nią w milczeniu, potem rzekł:

— Nie o nią tu idzie, ale o niego.

Prawdopodobnie gdyby w tym razie zostawiono panią Pipchin własnym chęciom, byłaby zastosowała i do Pawełka niezawodne swe środki, ale zacna ta osoba posiadała przy innych swych cnotach dosyć przebiegłości aby zrozumieć, że w tym wypadku, to co było wybornem dla córki, nie mogło się przydać dla syna. Zmieniając zatem zupełnie wyraz twarzy, zaczęła mówić o zbawiennym wpływie, jaki zmiana miejsca i nowy tryb życia muszą koniecznie wywrzeć na Pawełka.

Ponieważ zdanie to pani Pipchin zgadzało się w zupełności ze skrytemi nadziejami i widokami Dombeya, nabrał odtąd jeszcze wyższego pojęcia o jéj umysłowych zdolnościach. Że zaś pani ta nie omieszkała wyrazić żalu jaki czuła rozstając się ze swym małym przyjacielem, zostawiła Dombeya zarówno przekonanym o czułości jéj serca, jak o zupełnéj jéj bezinteresowności. Wyraźnie, zamiar swój musiał on już oddawna rozważać; zawiadomił bowiem panią Pipchin, że postanowił niezwłocznie umieścić Pawełka jako pensjonarza u doktora. Florcia miała zaś pozostać na miejscu i widywać się z bratem co tydzień.

— Tym sposobem syn mój zostanie po trochu — że tak powiem — odstawiony od siostry — rzekł Dombey, przypominając sobie może w téj chwili że pierwsze odstawienie Pawełka, odbyło się w sposób o wiele mniéj ogledny.

Bankier pożegnał wreszcie panią Pipchin wynurzając nadzieję, że zechce ona i nadal czuwać nad jego synem, dopóki tenże pozostanie w Brighton. Wychodząc, uścisnął Pawełka i podał rękę Florci, obdarzył także wyniosłem wejrzeniem Bitherstona i poklepał małą Pankey po głowie, od czego łzy jéj w oczach stanęły: od szturchańców bowiem miała ciemię bardzo drażliwe. Potem odszedł bardzo wspaniale do swego hotelu na obiad, utwierdzając się w drodze w postanowieniu posuwania co najśpieszniéj Pawełka w naukach, skoro to dziecię silnem już było i zdrowem, i rozwinięcia w niem zalet i wiadomości potrzebnych przy świetnem stanowisku, jakie miało zająć w przyszłości.

Stanęło tedy na tem, że mały Dombey zaraz miał być oddany w ręce doktora Blimbera. Kogo zaś miał ów doktór w swych rękach, temu nie bardzo było rozkosznie. Człowiek ten był tak przepełniony nauką, że mógł nią nasycić ze stu co najmniéj uczni, że zaś miał ich tylko dziesięciu, największą jego było uciechą i nieustannem zajęciem

dławić te nieszczęśliwe ofiary owym nadmiarem mądrości, którego sam nie był w stanie strawić.

Jednem słowem, zakład doktora był rodzajem cisnącego przyrządu w nieustannym będącego ruchu. Dzieci rozwijały się tam przedwcześnie i podobnież więdły. Rozdawano im hojnie wszelkiego rodzaju nowalje duchowe, bez smaku i bez woni jak wszystko co niewczesne. Na wątłych latoroślach uginających się pod ich ciężarem, wyrastały twarde i kwaśne owoce matematyki i algebry; greczyzna i łacina oplatały drętwiącemi uściski drzewka zaledwie od ziemi odrosłe, które nieustannie prostowała żelazna ręka wytrwałego Blimbera. Przy uprawie powierzonych mu roślin, nie miał on bynajmniéj na względzie wymagań ich natury; pod jego kierunkiem każdy uczeń, jakie bądź były jego siły fizyczne lub umysłowe, musiał iść w parze z drugiemi i jednakowe z niemi dźwigać brzemię.

Jakkolwiek przy podobnym systemacie, większa część latorośli pielęgnowanych przez Blimbera marniała i schła w jego rękach, wystrzelił był wszelako z pośród nich jedyny okaz świadczący, iż można było przecież wytrzymać całkowity kurs nauk tam udzielanych.

Gentlemanem owym, górującym jeśli nie mądrością to przynajmniéj wzrostem nad swemi towarzyszami, był niejaki Toots, chłopak z wielką ale bardzo ciasną głową i grubym nosem wiecznie spuchniętym; noszący ogromne szpilki w krawatu, a nie kiedy nawet — ale to już ukradkiem — pierścionki na palcach, wtedy gdy uczniowie wychodzili na przechadzkę. Młodzieniec ów wzdychał z kolei do wszystkich nianiek, jakie kiedy napotkał po drodze, wieczorem zaś miewał zwyczaj przypatrywać się do późna latarniom oświetlającym ulicę, przez kratowane okno swego pokoju.

Doktór Blimber był to sobie opasły człowieczek, zawsze czarno ubrany, w pończochach poprzywiązywanych sznurkami, z wielce wygładzoną łysiną i podbródkiem tak suto nafałdowanym że trudno było pojąć jakim sposobem brzytwa mogła dać z nim sobie radę. Głos jego był bez dźwięku, jakby wychodził z jakiéj pieczary, oczy miał małe i zawsze na wpół przymknięte, usta zaś przeciwnie zwykle wpół otwarte. Kiedy kiwając głową swoim zwyczajem, Blimber stał nieruchomy z jedną ręką schowaną w zanadrzu, a drugą założoną z tyłu, miał w sobie coś zagadkowego co go przedstawiało w świetle wcale korzystnem.

Zakład doktora pomieszczony w bardzo pokaźnym i obszernym domu, był przodem zwrócony ku morzu. Wnętrze jego nie wyglądało bynajmniéj wesoło, przeciwnie, wszystko tam było sztywne i posępne. Firanki krojem nader oszczędne, wisiały niezgrabnie u okien, krzesła i stolik stały poustawiane rzędami, niby cyfry w arytmetycznem zadaniu. W bawialnych pokojach, tak rzadko zapalano ogień na kominku, że odwiedzający doktora czuli się tam objęci wilgotnemi wyziewami przypominającemi wnętrze studni. Jadalna sala nie tylko że nic wspólnego z jedzeniem ani z piciem mieć się nie zdawała, ale nawet wszelką o nich myśl odsuwała. Jedyny odgłos przerywający nieustannie ponurą ciszę tego grobowego domu, pochodził od wielkiego zegara dającego wiedzieć o sobie aż w najodleglejszych jego zakątach, dodatkowo zaś, rozlegał się dosyć często w pomieszkaniu głośny płacz dziecięcy, przypominający żałośne nawoływanie zbłąkanego stada gołębi.

Panna Kornelia Blimber, córka doktora, jakkolwiek dosyć zwinna i ruchawa osóbka, nie przynosiła bynajmniéj ujmy powadze zakładu. Niepodobna się w niéj było dopatrzeć żadnéj płochości ani światowości, nosiła zawsze okulary, przez które nieustannie przepatrywała grobowce języków już nieżyjących. Praca owa, któréj panna Blimber oddawała się z wielką żarliwością, wysuszyła ją była jak mumię, języki nowożytne nie istniały dla niéj, ale jak raz tylko stały się umarłemi, wygrzebywała ich szczątki z zawziętością nigdy nie strudzonego grabarza.

Matka jéj, pani Blimber, nie była wprawdzie wielce uczoną, ale miała siebie za taką, co niemal na jedno wychodziło w tym razie. Nieraz w rozmowie na wieczorkach u znajomych dowodziła, że gdyby jéj danem było osobiście znać Cycerona, umarłaby nie żądając niczego więcéj od życia. Kiedy widziała idących na przechadzkę uczniów doktora, nic jéj bardziej nie cieszyło jak sztywność ich krawatów i wysokość kołnierzyków; znajdowała bowiem to ubranie całkiem klassycznem.

Co zaś do pana Federa, kandydata filologji, służącego za pomocnika doktorowi, był to rodzaj żywéj katarynki posiadającéj pewną ilość nut i zdolnéj wygrywać tylko jedne i te same sztuczki. W młodości swéj, gdyby los więcéj był mu sprzyjał, człowiek ów mógł był inaczéj się pokierować, ale gdy mu do tego zbrakło możności, pozostało zadaniem jego zabałamucać swą monotonną przygrywką myśli uczniów Blimbera. Do spółki z nim prześladował ich konjugacjami, gnębił opracowaniami, wycieńczał zadaniami które aż we śnie biedne dzieci trapiły. Wciągnięty w owo jarzmo dzieciak, tracił zwykle wszelką swobodę i ożywienie w ciągu kilku tygodni; po kilku miesiącach stawał się ponury i cierpki, po upływie zaś roku gotów był sławić rozkosze grobu w zupełnéj szczerości ducha i nabywał niezachwianego przekonania, że wszystkie marzenia poetów i wszystkie nauki mędrców, niczem innem nie są jak zbiorowiskiem słów i gramatycznych kombinacji, bez żadnego zgoła znaczenia.

Z tem wszystkiem, w dalszym ciągu swego kształcenia, uczeń rozwijał się i rozkwitał w naukowéj łaźni doktora, w sposób całkiem odpowiedni żądaniom mistrza, który go ostatecznie oddawał z wielką dumą, całkiem już wykończonego, w ręce jego rodziców.

W parę dni po odwiedzinach Dombeya u pani Pipchin, Pawełek stał smutny i wzruszony u progu domu Blimbera, podając jedną rękę ojcu, drugą rzewnie płaczącéj Florci. Jakże gorącem było to ostatnie uściśnienie, jakże chłodnem tamto!

Pani Pipchin, czekająca także ze swemi ofiarami na otwarcie drzwi domu, przypominała swą czarną suknią i haczykowatym nosem, złowróżbnego jakiegoś ptaka, podlatującego po nad niemi.

Zacna ta pani bardzo była w téj chwili zdyszana, gdyż Dombey cały oddany swym wzniosłym rozmyślaniom, szedł przez całą drogę bardzo szybkim krokiem. Zbudziwszy się z nich wreszcie, rzekł do syna z wyrazem dumy i zadowolenia:

— Od téj chwili Pawle, wchodzisz na drogę u któréj kresu nazwiesz się Dombey i syn, i staniesz się bardzo bogatym. Od dzisiaj, jesteś już prawie mężczyzną.

— Prawie, — powtórzył Pawełek z wejrzeniem któremu wzruszenie nadawało wyraz tęskny, nie odejmując mu wszelako zadziwiającéj przebiegłości.

Przykre jakieś wrażenie zachmurzyło chwilowo rysy Dombeya, ale właśnie w téj chwili drzwi się otworzyły i uwaga jego czem innem się zajęła.

— Czy zastaję w domu doktora Blimbera? spytał.

Służący odpowiedział potwierdzająco, poczem wprowadził gości do sieni. Kiedy drzwi za niemi zamknął, począł się przyglądać Pawełkowi w taki sposób w jakiby patrzał na mysz wpadłą do pułapki. Dziwne to wejrzenie było może spowodowane słabością wzroku tego chłopaka, niemniéj uraziła się niem bardzo pani Pipchin, widząc w tem brak uszanowania, który surowo zgromiła, ku wielkiemu upokorzeniu biednego służącego.

Doktór Blimber przyjął gości w swym gabinecie, gdzie siedział obrzucony stosami książek, w towarzystwie dwóch globusów przy nim umieszczonych, Minerwy stojącéj na kominku i Homera zdobiącego szczyt szafy.

— Witam pana rzekł do Dombeya. Jakże się miewasz, mój mały kawalerze?

Słowa doktora wychodziły z ust jego tak miarowo, że gdy zamilkł, zdało się Pawełkowi iż idący zegar powtarzał je dokładnie.

Ponieważ mały kawaler był na prawdę za mały, aby go można było dostrzedz z po za stosu ksiąg leżących na stole, doktór schylił się i zajrzał pod biórko, probując czy go ztamtąd nie zobaczy. Widząc to, Dombey przyszedł mu w pomoc i wziąwszy Pawełka na ręce, posadził go na stoliku stojącym pośrodku pokoju.

— A! rzekł Blimber przechylając się w tył w krześle, z rękami w kieszonkach od kamizelki, — teraz go dobrze widzę; — jak się miewasz! mój mały kawalerze?

Gdy przestał mówić, zegar znowu powtarzał w uszach Pawełka każde jego słowo.

— Dziękuję panu, zdrów jestem, odpowiedział chłopczyk, wchodząc już w takt zegara, prawie tak dokładnie jak doktór.

— Czy nam się też uda zrobić z ciebie człowieka? rzekł Blimber — jak ci się zdaje?

Pawełek nic nie odpowiedział, dopiero gdy usłyszał powtórzone to samo zapytanie, rzekł:

— Wolałbym pozostać dzieckiem.

— Doprawdy? rzekł Blimber, — a to dla czego?

Dzieciak siedzący ciągle na stole patrzał na niego w milczeniu, z dziwnie głębokim wyrazem wzruszenia. Jedną ręką klepał siebie po kolanie, jakby rozbijając łzy które tam padały, drugą zaś wyciągnąwszy trochę przed siebie, szukał niby czegoś, aż wreszcie natrafiwszy na ramię zbliżającéj się Florci, oparł się na niem i wtedy zdało się, że wzrok jego wymownie powiedział. Oto dla czego chciałbym pozostać dzieckiem. Ale po chwili żywy ów promień zagasł, usta Pawełka się zacisnęły i łzy popłynęły mu z oczu strumieniem, pomimo wysiłku z jakim probował je zatrzymać.

—Muszę powiedzieć, rzekł Dombey do syna z wyrazem gorzkiego wyrzutu, że to co widzę bardzo mi się nie podoba.

— Panno Dombey, odejdź zaraz od brata, zaraz mi odejdź, zawołała pani Pipchin, podchodząc groźnie ku Florci.

Ale doktór ją odprawił łagodnem skinieniem głowy.

— To nic nie znaczy, rzekł, wszystko pójdzie dobrze. Rozerwiemy to dziecię nowemi zajęciami i nowemi wrażeniami. Bądź pan całkiem spokojny, wkrótce wszystko pójdzie jak się należy. Chciałbyś pan aby ten mały kawaler uczył się głownie... czego naprzykład?..

— Wszystkiego, odpowiedział Dombey.

— Rozumiem, rzekł Blimber, przyglądając się Pawełkowi ze swoim zwykłym uśmiechem i przymrużeniem oczu, tak jak gdyby oglądał zwierzątko jakieś, zabierając się do wypchania go. No, no, rozumiem, posuniemy szybko w naukach tego kawale-

ra, i to w rozmaitych kierunkach. Mam nadzieję że ta robota pójdzie wybornie, bo rola całkiem świeża. Wszakże prawda, panie Dombey?

— Z wyjątkiem niektórych nauk początkowych, udzielanych mojemu synowi w zakładzie pani Pipchin, wcale się dotąd nie uczył, odpowiedział Dombey.

To mówiąc wskazywał Blimberowi wzmiankowaną panią, która w téj chwili przybrała sztywną i surową postawę, będącą w jéj pojęciach zastosowaną do godności zajmowanego przez nią stanowiska.

Doktór pochwalił przychylnem skinieniem głowy te początkowe zarysy wychowania Pawełka, dodając że uważa nawet za daleko korzystniejsze dla dziecka módz rozpocząć jego kształcenie od saméj niemal podstawy. Potem, zwrócił znowu oczy na małego Dombeya, jakby już mu chciał począć wbijać greckie abecadło w głowę.

— Okoliczność ta, ciągnął daléj bankier, a także i rozmowa jaką poprzednio miałem z panem w tym przedmiocie, czyni jak mi się zdaje — wszelkie dalsze objaśnienia zbytecznemi. Żegnam pana zatem — nie chcąc mu zabierać tak drogiego czasu...

— Panno Dombey — proszę z sobą — zawołała groźnie pani Pipchin.

— Upraszam jeszcze o chwilkę—rzekł doktór,— radbym przedstawić panu panią Blimber, a także i moją córkę, która ma być towarzyszką tego młodzieńca w jego pielgrzymce do Parnasu.

Małżonka doktora, prawdopodobnie oczekująca za drzwiami téj chwili, weszła z panną Korneljà, uzbrojoną w nieodstępne okulary.

— Panie Dombey, oto moja ukochana małżonka, rzekł Blimber, oto moja córka Kornelja. Żono to nasz nowy wychowaniec, dodał wskazując na Pawełka.

Pani Blimber która dotąd nie widziała go wcale, będąc uprzejmie zwrócona ku Dombeyowi, obejrzała się na chwilę, potem rozpoczęła wychwalać rysy prawdziwie klasyczne i rozumny wyraz twarzy tego dziecka.

(d. c. n.)

OPOWIADANIE ŻOŁNIERZA

WYDANE PRZEZ

Amadeusza Acharda.

(Dalszy ciąg).

II.

Zaledwie wyjechaliśmy jakie ćwierć mili, poczęliśmy napotykać gromadki wieśniaków, dążących pośpiesznie od strony Mézières z wyrazem trwogi na twarzy. Niektórzy przystawali od czasu do czasu i oglądali się niespokojnie. W miarę jak postępowaliśmy naprzód, liczba ich zwiększała się, wkrótce znaleźliśmy drogę zawaloną trzodami bydła i wózkami tych nieboraków, którzy uciekali zabrawszy na prędce co mogli, z lepszych sprzętów i dobytku. Kobiety i dzieci siedzące na wozach, płakały rozgłośnie. W téj chwili, myśl moja zwróciła się ku okrzykom i śpiewom, które witały wieść o wypowiedzeniu wojny, przypomniałem sobie gorączkowy zapał Paryża, świetne nadzieje pierwszych dni walki. Dzisiaj już nie słuchałem Marsyljanki w sali Wielkiéj Opery, ale patrzyłem na krainę spustoszoną przez nieprzyjaciela, przed którym mieszkańcy uciekali, opuszczając rodzinne zagrody pędzeni jak nędzna trzoda trwogą zbliżającego się mordu i pożogi. Po drodze słyszeliśmy od owych wieśniaków, że chmary Prusaków nadciągały, zapewniali że już niepodobna było dostać się do Mézières i namawiali nas koniecznie do zaniechania dalszéj podróży. Nie dowierzając w zupełności tym zatrważającym wieściom, postanowiłem jechać póki było można.

Dalekie odgłosy armatnich wystrzałów, popierały wszelako w sposób dosyć przekonywający przestrogi uciekających wieśniaków. Dochodziły nas one coraz wyraźniéj od strony Vouziers. Dotąd, odgłosy podobne słyszałem tylko w czasie urzędowych uroczystości obchodzonych w Paryżu. W obec tych milczących obszarów i tego zrozpaczonego tłumu cisnącego się w bezładzie, przybierały one groźne brzmienia od których dreszcz mię przeszywał. Było to całkiem nowe wrażenie, wkrótce miałem się z niem lepiéj oswoić. Nie bardzo daleko od gościńca, zabudowania jakieś wiejskie stały w płomieniach, a miejscami widać było w oddaleniu dym od wystrzałów, jakie zamieniali z sobą francuzcy i pruscy tyralierzy.

Około szóstéj wieczorem, przybyliśmy do Mézières. Pierwszem mojem staraniem było udać się do plackomendanta w celu otrzymania broni i wywiedzenia się o losach trzeciego pułku zuawów, ale i tu niemniejsze panowało zamięszanie jak w Rethel. Dostawszy się wreszcie do któregoś z urzędników wojennego zarządu, przekonałem się, że nie było co liczyć na otrzymanie w biórze jakichkolwiek objaśnień. Co zaś do strzelby, poczciwy ów kancelista zdawał się mocno zdziwiony uporczywością z jaką się o nią dopominałem.

— Rozumiem że pragniesz pan służyć co najprędzéj ojczyznie, rzekł do mnie z wyrazem życzliwości, i dla tego właśnie radzę panu udać się do Lille.

— Do Lille? a to dla czego?

— Dla tego, że organizuje się tam właśnie pułk, który będzie złożony z różnorodnych ale wyborowych żywiołów. Łatwo przyjdzie panu do niego się dostać i tam otrzymasz z pewnością broń, któréj napróżno dotąd się domagasz. Zresztą, rada moja wypływa z rozkazów, jakie w tym względzie świeżo otrzymaliśmy.

Te ostatnie słowa położyły kres rozmowie. Odszedłem głęboko zasmucony. Widzieć się odesłanym do rezerwy, nie było rzeczą przyjemną dla ochotnika, który marzył spotkać się z Prusakami w kilka godzin po wyjeździe z Paryża. Usłyszawszy ów przykry wyrok, rozmyślałem gorzko nad nim, idąc bez celu ulicami zapełnionemi żołnierzami wszelkiéj broni, rozprawiającemi gwarnie przed szynkami i przed winiarniami. W powietrzu zdawało się już unosić smutne rozczarowanie.

Za nadejściem nocy, wypadło mi jednak poszukać mojéj kwatery. W skromnym domu w którym naznaczone miałem pomieszkanie, dano mi najskromniejsze jak tylko być mogło pomieszczenie. Był to mały zakątek poddasza zajęty w zupełności przez stare łóżko, któremu brakło jednéj nogi. Nie tracąc czasu na próżne uwagi, położyłem się ubrany i w kilka minut spałem na moim twardym sienniku tak smacznie, jak na najlepszym sprężynowym materacu.

Wsród nocy, odgłosy trąb zbudziły mię znagła. Zdziwiony, zerwałem się z posłania i wybiegłem do sieni. Służąca wyglądająca okienkiem rzekła do mnie: to pobudka na wyjazd następcy tronu.

Było to w istocie hasło do wyjazdu który miał być bezpowrotnym. Ruch wielki powstał na ulicy, jeźdzcy przebiegali cwałem, szwadrony szykowały się do pochodu, szczęk broni dał się słyszeć zmięszany z dalekim turkotem powozu potem wszystko w ciszę znów zapadło, spadkobierca wielkiego państwa oddalał się dążąc ku otchłani!

Pociąg mający odejść o godzinie szóstéj nie był jeszcze gotów. Kiedy przybyłem na dworzec kolei, znalazłem go zapełnionym żołnierzami. Było tam niemniéj włóczęgów jak prawdziwych chorych, wszystko to odsyłano nie wiedząc co z tem robić do rezerw departamentu Północy, lub do szpitali mających jeszcze nieco miejsca wolnego. Zaledwie o dziewiątéj zostały ponapełniane wagony, mieściły się w nich szczątki kilkunastu półków. Po drodze krzyżowały się z nami pociągi wiozące żołnierzy, konie i armaty. Było to wojsko jenerała Vinoy, spieszące połączyć się z Mac-Mahonem, aby wkrótce potem rozpocząć ruch odwrotny ku Paryżowi. Rozmawiając na któréjś stacji z napotkanemi żołnierzami, dowiedziałem się, że następnym pociągiem miał przejeżdżać oddział trzeciego pułku zuawów, postanowiłem zatem czekać na jego przybycie, mocno uradowany tak szczęśliwym trafem.

Po kilku godzinach, oczekiwany pociąg nadszedł wreszcie, przywożąc nieznanych moich towarzyszów broni. Nie tracąc ani chwili stawiłem się przed dowodzącym niemi oficerem.

— Proszę pana... rzekłem.

— Mam rangę porucznika, odpowiedział sucho i spojrzawszy na mnie marszcząc brwi pochmurnie dodał.

— Czego chcesz? Mów — a tylko zwięźle.

Przedstawiłem moją prośbę w najkrótszych jak mogłem wyrazach.

— Siadaj, — rzekł porucznik.

W mgnieniu oka, znalazłem się w wagonie wśród kilkunastu ogorzałych i brodatych zuawów, których ciekawe spojrzenia ku mnie się zbiegły. Wiedząc czem najprędzéj zdołam pozyskać serca nowych moich kolegów, poczęstowałem ich niezłym tytuniem którego miałem zapasik i tym sposobem staliśmy się odrazu najlepszemi przyjaciołmi. Po noclegu pod namiotami Charleville, puściliśmy się w dalszą drogę ku Sedanowi. Tu jechaliśmy już nader powoli i co chwila maszynista hamował bieg lokomotywy, badając okolicę wzrokiem niespokojnym. Nie wiedziano na pewno gdzie się znajdował nieprzyjaciel; droga mogła być przecięta w pierwszem lepszem miejscu. Równolegle z szynami, szła dołem drożyna na któréj widać było pełno rodzin włościańskich, uciekających pośpiesznie i pędzących swe trzody przed sobą. Znowu płacz i wyrzekania dochodziły naszych uszu, zmięszane ze skrzypieniem kół wozów ciężko naładowanych, i znowu wtórował tym odgłosom huk dalekich wystrzałów armatnich. Wszystkie głowy cisnęły się ku oknom wagonów, a sercei moje uderzało przyśpieszonem biciem pod wrażenfem uczucia, w którem dotkliwe cierpienie splatało się z gorączkową niecierpliwością. W tem, zuaw ukazał się na stopniu naszego wagonu, zalecając w imieniu porucznika, abyśmy byli w pogotowiu do dania ognia. W mgnieniu oka, wszystkie szaspoty miały kurki odwiedzione i lufy ich najeżyły oba bok wagonu, który obecnie pędził jak strzała po szynach. W dali, widać było gdzieniegdzie czarne kupki jakieś, poruszające się na równinie, bystrzejszy wzrok niektórych z pomiędzy nas, upatrywał w nich błyszczące ostrza pruskich hełmów. Znagła, granat wyrzucony niewiedzieć zkąd, wrył się w wał przydrożny, wyrzucając w górę tumany piasku, zaraz potem drugi ociosał kant naszego wagonu, sprawiając silne wstrząśnienie. Zuawi odpowiedzieli na ów napad kilku wystrzałami skierowanemi w stronę, gdzie owe czarne kupki dawały się widzieć. Pociąg przeleciał nie doznawszy żadnéj szkody.

W godzinę potem, stanęliśmy na dworcu Sedańskim, zkąd było do cytadeli spory kawał drogi dla przebycia pieszo z pakunkami na plecach. Już wi-

dniały na okolicznych wzgórzach nieprzyjacielskie wojska, nadciągające coraz gromadniéj. Nieład jaki zauważyłem w Rethel i w Mézières dał się nam i tutaj we znaki. Już doszliśmy do miasta, kiedy kazano nam wracać znowu do dworca kolei, gdzie jakoby nadeszły w téj chwili paki szaspotów. Pobiegłem pędem na wskazane miejsce, ale zamiast broni, zastałem tylko stosy worków z chlebem i z sucharami.

— Cóż to znaczy? spytałem podoficera.

— To, że musiałem was oszukać, ażebyście po żywność wrócili, rzekł śmiejąc się. Wiedziałem dobrze że za bronią polecicie pędem strzały, a potrzeba mi było ludzi do przeniesienia tych worków.

Nie było co na to odpowiedzieć. Wziąwszy worek na plecy i po bochenku chleba pod pachę, ruszyłem z towarzyszami do miasta, gdzie nasz oddział miał rozkaz czekać na placu Stanisławowskim dalszych rozkazów. Nadeszły one wkrótce i znowu nas zwrócono ku bramie, którą weszliśmy do miasta. Ile tu drogi niepotrzebnéj i straconego czasu! Gwar i zamęt niesłychany panował w mieście. Mnóstwo oficerów i adjutantów snuło się tu i owdzie, co chwila jeźdzcy przelatywali wiozące rozkazy, po rogach ulic tworzyły się grupy ludzi rozmawiających z ożywieniem. Jakiś człowiek nadbiegł wołając, że nadeszła wiadomość o wielkiem zwycięztwie naszych, ale wieść tę przyjęto z widocznem niedowierzaniem. Tymczasem potężna kanonada grzmiała bez przerwy od strony północno wschodniéj Sedanu. Każdy czuł że ważna rozprawa tam się odbywała, wszystkie uszy były natężone, wszystkie piersi ugniatał ciężar jakiś. W tem, sierżant zawołał na mnie i kazał mi iść za sobą wraz z kilku kolegami nie mającemi także jeszcze broni, do cytadeli gdzie miano nam ją rozdać. Doczekałem się tedy wreszcie owego upragnionego szaspota. Komendant obecny przy rozdawaniu broni, zalecił nam w kilku wyrazach, abyśmy jak należy jéj używali, poczem sierżant odprowadził nas przyśpieszonym krokiem do bramy Paryzkiéj, gdzie się już znajdowała reszta naszego oddziału. Spodziewano się napadu od téj strony, mieszkańcy owéj dzielnicy miasta snuli się po ulicach z wyrazem trwogi na twarzach, cisza chwil uroczystych zastąpiła poprzednie gwary, na tle jéj odzywały się tylko grzmiące odgłosy coraz bliższéj kanonady. Kilku ludzi przeszło śpiesznie obok nas, niosąc leżącego na skrzyżowanych karabinach, konającego już prawie ułana pruskiego. Na ten widok, poczęto się cisnąć w około rannego i z tłumu wybiegły głosy, miotające przekleństwa i obelgi. Blada twarz żołnierza pozostała nieruchomą, być może że owe okrzyki nie dochodziły już do niego. Na skrwawionéj jego piersi widać było pod koszulą tablicę skórzaną, która mię bardzo zaciekawiła. Powiadano w tłumie, że żołnierze króla Wilhelma byli wszyscy zaopatrzeni w ów rodzaj puklerza, mający ich ochraniać od kul nieprzyjacielskich; co do mnie przypuszczam raczéj, że tablica podobna musiała mieć na sobie wypisane nazwisko żołnierza który ją nosił, oraz numer jego pułku, w celu rozpoznania poległych na placu boju, i przyrząd podobny wydał mi się nader praktyczny i godzien naśladowania.

III.

Odgłosy armatnich wystrzałów grzmiały coraz potężniéj. Sierżant ustawiał nas wzdłuż muru opasującego miasto, jeden od drugiego o jakie ośm kroków, zalecając abyśmy dobrze celowali i nie strzelali na niepewne. Była godzina szósta po południu: zapowiedziano nam że zostaniemy zluzowani o północy. Dobra to była porcja jak na pierwszy początek, ale nie znajdowałem jéj wcale nadmierną, skoro raz miałem w ręku nowiuteńki szaspot jakby z igły zdjęty, i z pewnością nie byłbym w téj chwili oddał mego stanowiska za najlepsze krzesło w teatrze Wielkiéj Opery. Leżeliśmy wszyscy w milczeniu na wale w trawie zmoczonéj rosą, patrząc przed siebie wzrokiem wytężonym. Dwie kompanie piechoty linjowéj przeszły koło nas idąc ku zwodzonemu mostowi, który przed niemi spuszczono. Szły one obsadzić dworzec kolei zagrożony napadem, przez czas jakiś miarowe kroki żołnierzy dawały się słyszeć wśród ciemności, potem cisza wszystko ogarnęła.

Zimno stawało się coraz przenikliwsze, odzienie moje było całkiem wilgotne od rosy, czułem dreszcze po całem ciele. Zegary wieżowe wybijały godziny nocne jedne po drugich, były to jedyne odgłosy przerywające ogólne milczenie. Oczy moje strudzone daremnem, wytężeniem, zamykały się mimowolnie, ale chłód i wilgoć broniły mię w tym razie od zaśnięcia. Od czasu do czasu któryś z moich towarzyszy, szczękający jak ja zębami zaklął półgłosem, potem znowu cicho było czas jakiś. Gdy wybiła północ, któréj uderzenia rachowaliśmy wszyscy z uwagą, poczęliśmy się oglądać w stronę miasta, ale nic ztamtąd nie było widać. Doświadczeni z pomiędzy nas poczęli zapewniać, że kolej nasza potrwa do rana i czas pokazał, że się nie mylili w swych przypuszczeniach.

Noc upłynęła bez napaści nieprzyjacielskiéj, ale nie bez kilku chwil popłochu, wywołanego pomyłką. Gwardziści ruchomi zajmujący stanowiska w pobliżu, usłyszawszy kroki jakieś, rzucili się do kozłów i rozpoczęli szaloną pukaninę. Napróżno oficerowie biegali wołając na gwałt. Nie strzelajcie! ogień trwał dobre jakie pięć minut. Kompania wracająca z rekonesansu stała się mimowolnym powodem tego zamięszania, skutkiem którego biedny jakiś kapral życie postradał.

O świcie, wystrzał armatni dał się szłyszeć z szańców Sedanu. Oznaczał on początek walki, która miała być klęską niepowetowaną. Po tym pierwszym odgłosie, nastąpiły inne, coraz częstsze i coraz silniejsze. Wzrok mój wpatrywał się w półcieniach brzasku i w czerwone błyski towarzyszące tym grzmiącym wybuchom. Już ucho moje przywykło było do tego huku. Wsparty na łokciu, słuchałem go z uwagą, zbliżał się coraz więcéj i ani na chwilę nie ustawał. Walka wrzała w całéj sile.

Na ten raz, mogłem być pewien że mię w niéj udział nie minie. Około szóstéj, zluzowano nas wreszcie z okopów.

— Masz teraz chwilkę żeby coś przekąsić, rzekł do mnie sierżant. Tylko ruszaj co tchu i powracaj żywo, bo tu zaraz będzie gorąco co się zowie.

Skoczyłem pędem do miasta i wpadłem do pierwszéj z brzegu garkuchni. Ani wiem co mi tam podano, to tylko pamiętam, że wybiegłszy z niéj po kilku minutach i śpiesząc placem Stanisławowskim, spostrzegłem na nim w kawiarni kilku wyższych oficerów grających sobie najweseléj w bilard, podczas gdy pruskie granaty obijały się o mury sąsiednich domów. Zaledwie powróciłem do bramy Paryzkiéj,gdzie zostawiłem mój oddział, naznaczono mi wartę z drugim zuawem po za mostem zwodzonym. Mieliśmy sobie zalecone od porucznika, nie przepuszczać nikogo i nie dać nikomu pokazać się po drugiéj stronie szosy. Bombardowanie miasta było już rozpoczęte, granaty przelatywały ze świstem w powietrzu i padały tu i owdzie z tym przeraźliwym zgrzytem, który raz usłyszawszy, niepodobna go nigdy zapomnieć. Byłem po raz pierwszy w ogniu; serce uderzało we mnie jak młotem, ręka ściskała nerwowym ruchem lufę szaspota. Nie wiem czy można dać wiarę tym którzy zapewniają, że w podobnéj chwili nie doznali wrażeń tego rodzaju. Jeśliby tak było w istocie, podziwiam ich zimną krew wyznając, że nie było mi danem zachować ją w tak wysokim stopniu.

Granaty w proch ścierały kamień murów wałowych i siekły co chwila głębie foss obryzgując nas wodą i odłamkami żelaza. Armata ustawiona tuż obok bramy fortecznéj, odpowiadała nieprzyjacielowi z szybkością i celnością, która wkrótce zwróciła jego uwagę. Grad pocisków spadł niebawem na obsługujących ją artylerzystów, i biedne działo zaprzestać musiało pracy do któréj rąk mu zabrakło. Jeden z pozostałych rzucił z wściekłością stępel do nabijania, drugi zacisnął pięście w niemej rozpaczy i obaj odeszli zwolna, ścigani jeszcze pruskiemi granatami.

Podczas gdy trwała owa walka nierówna, przechadzałem się tam i napowrót przed mostem zwodzonym, gdzie mi wartę przeznaczono. Już nie same tylko armatnie strzały do nas dolatywały, towarzyszył im grad kul karabinowych, które spłaszczały się o mury, lub obijały o żelazo parapetów ze zgrzytem przenikliwym. Staliśmy we dwóch nad brzegiem fosy, służąc za cel Bawarom, którzy zajęli były dworzec kolei żelaznéj. Strzelali też do nas z zawziętością która nas może właśnie ocalała, nie dozwalając im celować dosyć starannie, wszelako lada chwila lepiéj skierowana kula mogła dosięgnąć zamierzonéj mety. Już nieraz kurzawa podniesiona strzałami szczerbiącemi szczyty wałów zasypywała nam oczy, kiedy wreszcie cofnięto nas z owego niebezpiecznego stanowiska, zostawiając wszelako spuszczonym most zwodzony. Wyznaję iż chwila w któréj znalazłem się po za wałem, wydała mi się bardzo przyjemną.

Zaraz potem porucznik zażądał trzydziestu ochotników, do obsadzenia wysuniętych flanków przed zwodzonym mostem. Droga którą mieli tam się dostać, była dosłownie zasypaną kulami i granatami, broniącemi do niéj przystępu. Pięćdziesięciu zuawów stanęło na zawołanie, z tych trzydziestu otrzymawszy pierwszeństwo, pobiegło pędem na oznaczone stanowisko. Patrzałem za niemi z pod sklepienia bramy przejęty uczuciem boleści, zdawało mi się że ani jeden z nich nie potrafi przebyć cało ów huragan z żelaza i z ołowiu, ale w mgnieniu oka już szalonym pędem dobiegli do wskazanéj im mety. Po drodze, kilku leżało rannionych, ci którzy ocaleli rozpoczęli zaraz żywy ogień, dopomagano im z wałów obsadzonych silnie gwardją ruchomą. Na nieszczęście, pośpiech nie dozwalał skierowywać skutecznie wszystkich strzałów, niektóre zabłąkawszy się, dosięgały posterunku naszych ochotników, jeden z owych walecznych zuawów został tym sposobem zabity. Ogień ręcznéj broni grzmiał jednym przeciągłym odgłosem, po nad którym górował potężny huk armatnich wystrzałów. Po pewnym czasie, z rozkazu porucznika zatrąbiono ochotnikom do odwrotu. Potrzeba im znowu było przebiedz szlakiem oranym od coraz gęstszych pocisków i znowu jednym błyskiem go przebyli, ale i tą razą nie bez opłacenia śmierci krwawego haraczu. Trzech zuawów potoczyło się w fossę, reszta dopadła bez szwanku bramy i znikła pod jéj sklepieniem; — pierś moja odetchnęła do piero wtedy swobodniéj.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 49.

N. 12. Futerał do okularów. Malowanie na drzewie. Z powodu braku miejsca nie podajemy szczegółowych opisów i sposobu malowania, dodamy tylko, iż osoby mające zamiar odrobić ten futerał. dostaną w sklepach gotowych wzorów odpowiednich na ten cel.

N. 13—15. Poduszki na toaletę.

N. 13 i 14. Poduszka do igieł z cyfrą oznaczoną czarnemi i białemi śpilkami. Materjał: niebieski atłas; kolorowy jedwab do cieniu, niebieska atłasowa wstążka 2 i pół cent. szeroka; 8 niebieskich jedwabnych kwastów, czarna cerata. Dwie trochę wypukłe poduszeczki mające 13 cent. w kwadrat, odszyte z szyrtyngu na podstawie z ceraty, nasypane otrębami lub opiłkami żelaznemi na 4 i pół cent, wysokości, różnią się tylko zwierzchniem przybraniem. Wierzch poduszeczki N. 13 pokryty lekko podwatowanym i przepikowanym, niebieskim atłasem; boki obejmuje atłas marszczony w bufę. Na atłasie dane 4 lambrekiny z białego sukna haftowane jedwabiami, które schodzą się na rogach i spinają kokardą niebieską z jedwabnemi kwastami. Monogram środkowy oznaczony śpilkami czarnemi i białemi, różnéj wielkości.

N. 15. Poduszeczka z pokryciem z plecioneczki i roboty szydełkowéj. Pokrycie czyli rozetę zwierzchnią, każda z czytelniczek mająca dość wprawy w szydełkowych robotach, z łatwością odrobi podług wzoru. Rogi poduszki przyozdabiają małe półkola szydełkowe, ogarnirowane wstążką i zakończone kwastami.

N. 16—17. Tło szydełkowe na szaliki i chustki. Dla lepszego objaśnienia powyższego ściegu, podajemy pod N. 16 i 17 próbkę roboty z prawéj i z lewéj strony, która to właśnie obraca się do wierzchu. Tło z białéj berlińskiéj włóczki, zaczęte tam i napowrót zwykłym tunetańskim ściegiem, robi się daléj następującym sposobem. Na każdy długi węzeł * nabiera się najpierw dwie pentelki na szydełko, pierwszą (sposobem na próbce N. 16 strzałką wskazanym) przeciąga się pod luźną pojedynczą nitkę, a przy pierwszem obrobieniu przez oczko, drugą na wskroś pod przerobienie łańcuszkowe; pentelki te zrabia się razem, robi 1 o. pow. potem przeciąga się pentelkę przez wyższe z poprzednich razem złączonych oczek i znów te dwie pentelki zrabia 1 o., które zostaje na szydełku. Potem nitkę roboczą zarzuca się na szydełko, (jak to widać na wzorze) przytrzymuje i robi następny węzeł od *. Przy obrobieniu łańcuszkiem każde oczko i nitka zarzucona poprzed. rzędu, zrabiają się razem. Na wykończonem tle dodaje się następnie po stronie lewéj, skośne przerobienie łańcuszkowe szydełkiem, z podwójnie wziętéj włóczki. Włóczka ta cienka i sztywna ładnie układa się w okrągłe ogniwa łańcuszka.

N. 17 podaje tę robotę od strony lewéj, która po przerobieniu łańcuszkowem stanowi stronę prawą. Sposób przewłóczenia dokładnie jest wskazany i nie wymaga opisu.

N. 18 — 20. Kaftanik na drutach dla małego dziecka patrz N. 19 i 20. Skrócenia: o. oczko; gł. o. — o. gładkie; kr. oczko kręte; zd. zdjąć, gł. zg. zgubić gładko, kr. zg., kręto zgubić; p. przybrać o. Materjał: włóczka angielska i cienkie drewniane druty. Szlak podany w naturalnéj wielkości pod N. 19, zaczyna się na 216 o., z tych 48 z każdego brzega oddziela się na brzegi zakończające z tyłu na plecach kaftanik, reszta stanowi szlak dolny, który robi się następnym sposobem. Rząd 1: 1 zd. *1 [illegible], 1 p., 1 gł., 1 p., 2 p. zg., 1 gł. powtórzyć od *. Rząd 2. cały kręto. Te dwa rzędy powtórzyć jeszcze 3 razy, potem obrobić 6 razy gładko. Ażeby oszycie nie ciągnęło się w rogach potrzeba przy 48 o. na boki przeznaczonych, przybierać co drugie obrobienie 1 oczko.

Przy szóstem gładkiem obrobieniu części boczne zakończają się w górze, a od dołu, w jednym ciągu zaczyna się nitką osobną od strony lewéj robotę kaftaniczka 8 gł. rzędami, po tych następuje 6 gł. rzędów robionych od strony prawéj a daléj zaczyna się tło wskazane na próbce N. 20. Widzimy iż w niem ciągle naprzemian idą 2 rzędy gł. a 2 kręto. Przy 1 obrobieniu co trzy oczka zdejmuje się na drut 1 o. nieprzerobione; w następnym rzędzie także zdejmuje się je, a nitkę przeprowadza od spodu, a w trzecim dopiero przerabia. Następny rząd ócz przeciąganych powinien być od pierwszego 2ma rzędami przedzielony i mijać się skośnie. Po obrobieniu 3 rzędów rzutu zaczyna się pacha. W tym celu zostawia się z każdéj strony 26 o. na plecy, 6 o. zakończa pachę a pozostałe stanowią przód. Każda z tych 3 części robi się aż do ramienia oddzielnie, na plecach rzut powtarza się 9 razy, a z przodu 8. W ostatnich 12 obrobieniach pachy przybiera się tak z przodu jak przy plecach 1 o. co czwarte obrobienie. Potem trzy części łączą się i robią razem, gubiąc co 2 obrob. 3 o. na ramieniu, przyczem wykrój pod szyję trochę się zaokrągla. Szlak przyszywa się z lewéj strony do podłużnych brzegów, brzeg szlaku i wykrój pod szyją obrabia się 2 razy szydełkowemi ząbkami z o. powietrznych przyrabianych o. ścisłemi, jak to widać na próbce N. 19.

Rękawki zaczynają się od dołu takim samym jak kaftanik szlakiem, tylko o połowę zwężonym i 4 gł. obrob. w górze zakończonym. Robią się tam i napowrót i podług dopasowanéj formy z papieru przybierają lub gubią, następnie z lewéj strony zrabiają i wszywają do kaftanika.

N. 21—22. Dwa ściegi szydełkowe, jako tła do kaftaników, kapturków, szalików, chustek i t. p.

N. 21. Tło z przeciąganych oczek. Ścieg tunetański. Zacząwszy tło zwykłym tunetańskim ściegiem przy następnem ku lewéj ręce obrobieniu, potrzeba najpierw * zarzucić nitkę na szydełko, potem przeciągnąć dwa o. pod łańcuszkiem, z obu stron najbliższego węzła, następnie zaraz drugie o. przewlec przez 1sze *. Przy przerabianiu łańcuszkiem, zarzucona nitka i o. zrabia się razem.

N. 22. Szlak wachlarzowym tunetańskim ściegiem. Zacząwszy szlak jak zwykle łańcuszkiem szydełkowym, w rzędzie pierwszym daje się * 1 o. śc. w boczny jego węzeł przerabia się drugie, w 2e, 3e a w 3e 4e takim samym sposobem, wzdłuż tego małego łańcuszka, opuściwszy o. pierwsze co trzy dalsze przeciąga się 3 pentelki sposobem tunetańskim, które razem z pozostałem na szydełku okiem łączy się 1-ym węzłem, potém robi 2 o. pow. i dalej od * ominąwszy 2 o. łań. Przy końcu ucina się nitka i rzędy następne zaczyna od początku, przyrabiając wachlarzowe węzły sposobem na próbce N. 22 wskazanym.

N. 23 i 24. Szydełkowy kaftanik dla dziecka od 2 lat. Patrz szlak N. 24. Kaftanik ten zaczyna się w podłuż od przodu i robi jednym ciągiem nie zszywając pod pachami. Na ramionach i na pachę przybiera się i gubi zostawiając miejsce na wykrój podług formy. Drugą połowę przodów robi się tak jak i pierwszą w jednym ciągu, lecz w odwrotnym kierunku. Rękawy zaczynają się na 25 o. i obrabiają 31 razy, środkowe zaokrąglenie otrzymuje się przez przybranie kilku oczek, tak iż w środku jest 31 ocz. Ażeby rękawy węższe były koło ręki, skraca się po 10 obrobieniach 4 razy po 4 oczka, potem następują 4 całe obrobienia (stanowiące środek rękawa) 4 skrócone i 10 całych rzędów. Szlak zakończający w koło kaftanik i rękawy robi się szydełkowym ściegiem, następnym sposobem: * 1 o. śc., przeciąga się pentelkę przez następne brzeżne o., 4 o. pow., przerabia oba na szydełku będące o. razem i zaczyna od *. W trzech rzędach środkowych w równéj odległości odrabiają się czarną nitką gwiazdki widoczne na próbce N. 24, nitkę czarną przeprowadza się spodem od jednéj gwiazdki do drugiéj a potém przecina i zakończa. Przy rękawach tylko na jednym rzędzie środkowym dane pojedyncze muszki. Pikoty zakończające szlak odrobione są z 5 o. pow. i 1 o. ścisłego. Szlaczek górny naszyty czarną włóczką ściegiem łańcuszkowym. Pod szyją przewleczony sznur włóczkowy zakończony kwastami.

N. 24 podaje próbkę ściegu szydełkowego trochę w zmniejszeniu.



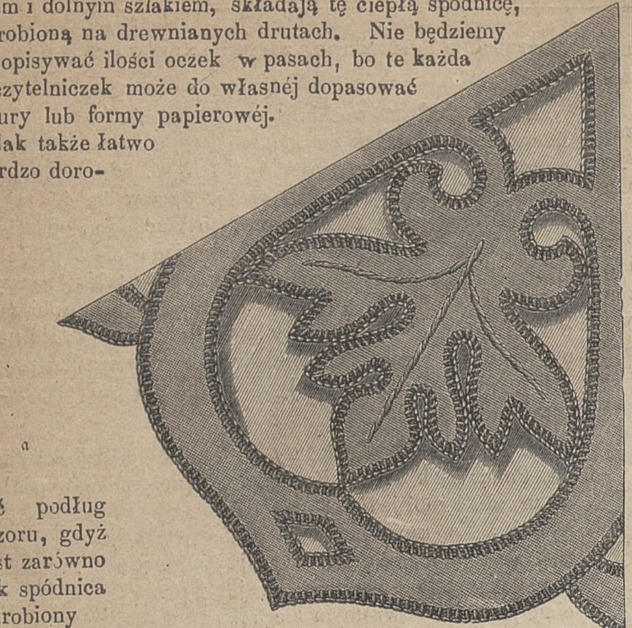
N. 1. Suknia z gładką tuniką i szerokiemi rękawami. N. 2. Suknia z podpinaną tuniką i wązkiemi rękawami.

N. 25. Spódniczka dla dziecka. Na długości 170 o. robi się szlak tunetański do spódnicy; muszki idące w prążki skośne rzucone są w odległości 3 o. tunetańskich. Przód i tył spódnicy robi się osobno, gubiąc odpowiednio do formy; spódnicę po wykończeniu wszywa się w pasek i u dołu obrabia ząbkami.

N. 26. Spódnica do wieczorowego ubrania robota szydełkowa w zwykłe słupki. Spódniczka ta ciepła i łatwa do zrobienia składa się ze sł. i o powietrznych, długość jéj 52 cent. szerokość 172 centymetrów. Zaczyna się od górnego rzędu na 126 oczek. Część środkowa składa się z 32 rzędów, mijających się sł. na każdy z tych rzędów robi się naprzemian 3 sł., które opuszczając 1 sł. poprzedniego rzędu między każde 2 sł. zarzuca i 3 o. pow. przerabia. Pierwsze 17 rzędów robią się z powodu rozporka tam i napowrót, daléj robota idzie wkoło. 1 rząd szlaku składa się ze śc. sł.; na 2 rząd: robić * 4 sł. 2 o. pow. przedzielone, potem 3 sł. opuścić i zrobić 3 o. pow. 1 sł. 3 o. po. i powrócić do * opuściwszy 3 słupki, 3 rząd jest jak 2 w którym 4 sł. na 4 poprzednich a 1 sł. nad 1 wypada. Potem następuje 8 takich rzędów, z których każde 4 naprzemian się układają. Rząd śc. sł. zakończa u dołu szlak. U góry spódnicy daje się parę rzędów sł. z podwójnie wziętej włóczki, przez które trzeba przewlec tasiemkę do wiązania.

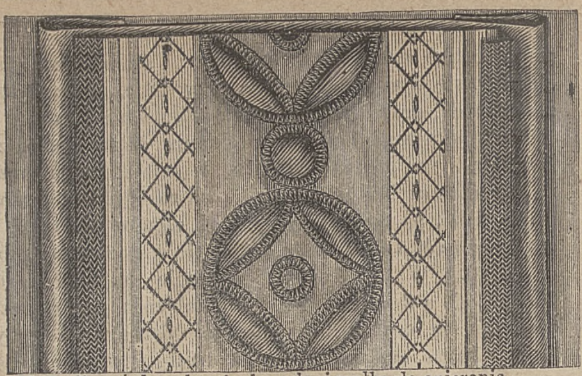
N. 27. Spódnica na drutach. Dziesięć pasów po 42 cent. długich, a 16 i pół szerokich z górnym karcz-

kiem i dolnym szlakiem, składają tę ciepłą spódnicę, odrobioną na drewnianych drutach. Nie będziemy tu opisywać ilości oczek w pasach, bo te każda z czytelniczek może do własnéj dopasować figury lub formy papierowéj. Szlak także łatwo bardzo doro-



N. 3. Szósta część deseniu na poduszeczkę lub do przykrycia koszyczka. Do ryc. 4 i 6.

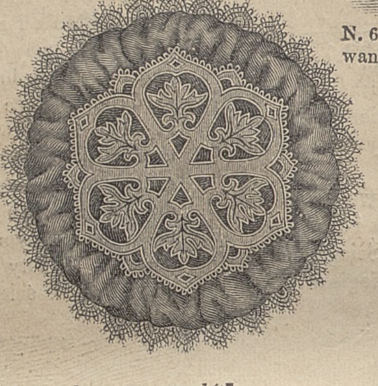
bić podług wzoru, gdyż jest zarówno jak spódnica odrobiony znanym ogólnie ściegiem.



N. 9. Deseń do pokrycia krzesła i wałka do opierania. Użyty być także może do serwet sukiennych i do portjer.



N. 6. Okrągły koszyczek do chowania robót. Deseń do przykrycia ryc. 5. Opis w dodatku.

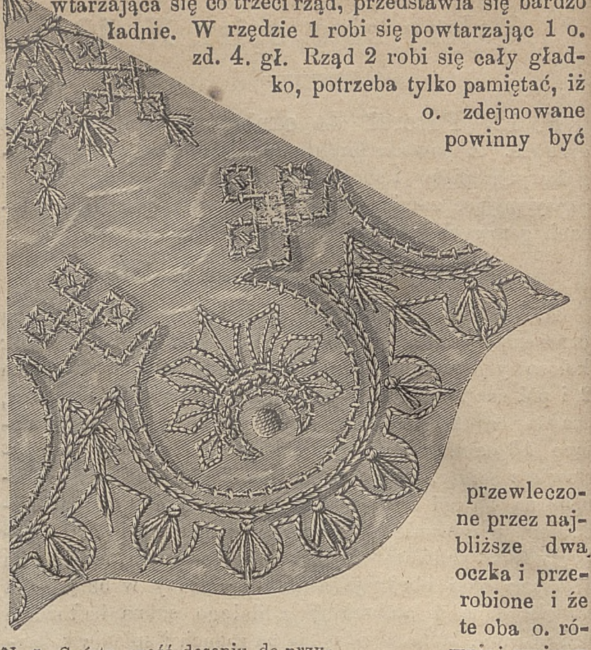


N. 4. Poduszeczka z szarego płótna. Opis w dodatku.

N. 28. Ścieg tunetański. Ścieg ten służy za tło do szalika, który podany był w N. 48 Ty. Mód pod N. 9. Opis szczegółowy roboty tła także tam był już podany, dziś dla łatwiejszego zrozumienia dodajemy tylko próbkę na której strzałka oznacza przejście nitki.

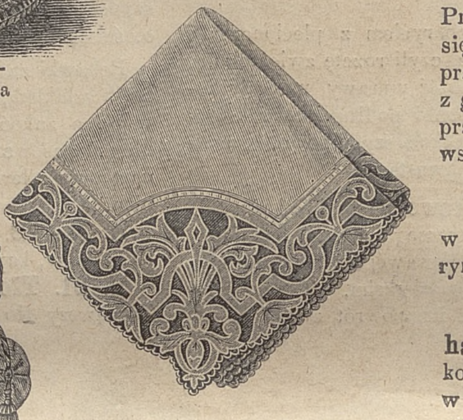
N. 29. Ścieg szydełkowy w muszki robotą tunetańską. Ażeby o ile możności ułatwić zrozumienie jak podwójne pentelki wiążą się z sobą i składają muszki, dane są na wzorze trzy strzałki, objaśniające gdzie trzeba wkładać szydełko. * Środkowa strzałka oznacza nitkę oczka, przez które pierwsza z pentelek przeciąga się, druga pentelka którą się w środek z wierzchu przeciąga, oznaczona jest kierunkiem strzałki do lewéj ręki, obie na szydełku znajdujące się pentelki potrzeba razem zrobić w jedną, potem zarzuca się nitkę na szydełko, jak to rycina 29 wskazuje. Trzecia ku prawéj ręce skierowana strzałka, oznacza którędy potrzeba obecnie przeprowadzić szydełko pod dwoma nitkami oczek, potem trzyma się nitkę prosto na szydełku i przeciąga, tą samą drogą, którą szydełko wyjęte, jeszcze jedno oczko. Dla skończenia muszki potrzeba wszystkie trzy pentelki będące na szydełku zrobić jednym oczkiem. Powtórzyć od *.

N. 30. Szlak na drutach do przewłóczenia aksamitką lub wstążką. Robota ta powtarzająca się co trzeci rząd, przedstawia się bardzo ładnie. W rzędzie 1 robi się powtarzając 1 o. zd. 4. gł. Rząd 2 robi się cały gładko, potrzeba tylko pamiętać, iż o. zdejmowane powinny być



N. 5. Szósta część deseniu do przykrycia koszyczka na materji jedwabnéj.

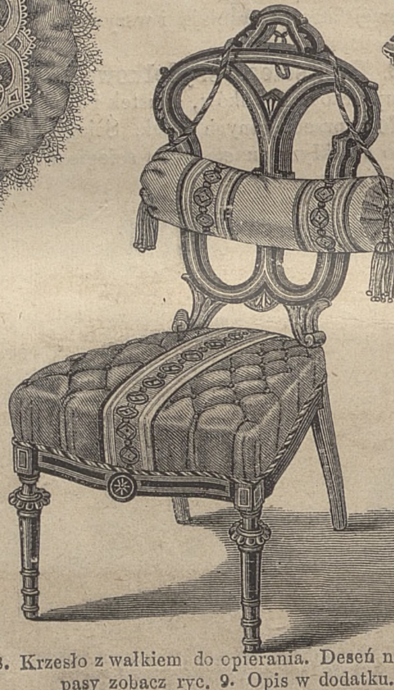
przewleczone przez najbliższe dwa oczka i przerobione i że te oba o. również wpierw trzeba przerobić gładko. Prążki utworzone z powtarzania się o. zd. są przedzielane poprzecznemi nitkami, powstałemi, z gładkich o. zupełnie sprutych, przez które przewłóczy się wstążka lub akamitka.



N. 7. Serwetka na stolik lub komodę ze szlakiem ażurowym. Haft na płótnie. Opis w dodatku.

N. 31. Frendzla. Robota w ramach. Frendzla do peleryny rycina 11 w N. 48 T. M.

N. 32. Oszycie w zęby haftowane łańcuszkiem do kostiumu „Victoria" rycina 9 w N. 49 Tyg. Mód.

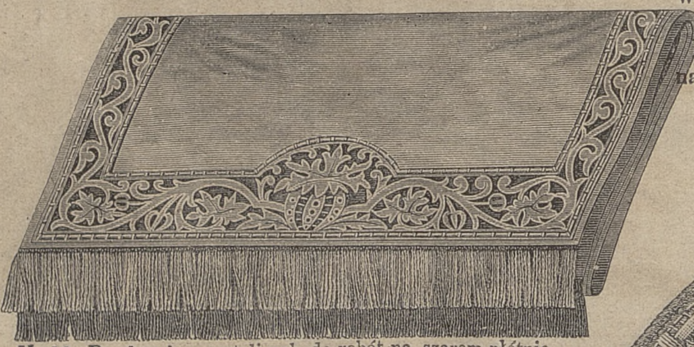


N. 8. Krzesło z wałkiem do opierania. Deseń na haftowane pasy zobacz ryc. 9. Opis w dodatku.

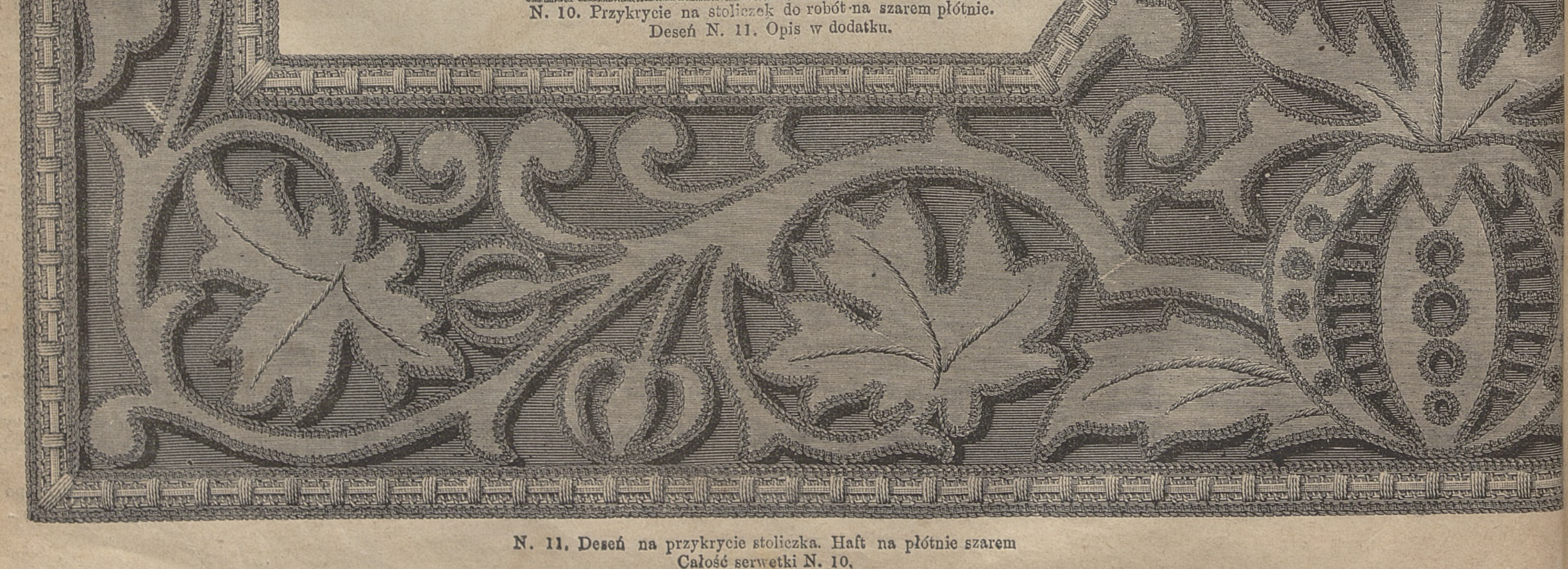
N. 33 — 37. Strojne ubrania wieczorowe.

N. 33. Suknia z grenadiny z plisowaniem muślinowem i czarną koronką. Strojne wykończenie sukni z czarnéj grenadiny składa się z czarnych koronkowych wolantów 12, 8 i 4 cent. szerokich, spadających na muślinowe plisowania, zakończone w górze jedwabną riuszą wyciętą w zęby 4 centy. szeroką. Zupełnie prosty bryt tylny jest 80 cent. szeroki, 76 długi, z boków przymarszczony. Stanik na wyciętéj jedwabnéj podszewce z podłużnym wykrojem pod szyją, jest z przodu przybrany wązkim wolantem w formie kaftanika zuawskiego. Szarfy upięte z czarnéj jedwabnéj, rypsowéj wstążki. Rękawy wązkie naszyte trzema szerokiemi wolantami, naśladują strojne szerokie.

N. 34. Suknia jasna jedwabna z bufowanym naszyciem z muślinu lub tarlatanu. Ażeby już noszo-



N. 10. Przykrycie na stoliczek do robót na szarem płótnie. Deseń N. 11. Opis w dodatku.



N. 11. Deseń na przykrycie stoliczka. Haft na płótnie szarem Całość serwetki N. 10.

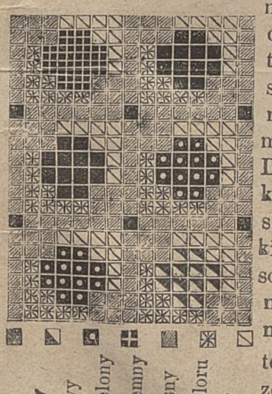
néj sukni nadać pozór strojnéj i świeżéj,układa się szeroką fałdowaną bufę i naszywa prosto lub w zęby, niżéj lub wyżéj stosownie do potrzeby. Tunika stosownie do tego czy suknia czysta lub nieświeża, jest otwarta lub nierozcinana z przodu, a na bokach przefałdowana. Tarlatan lub gaza dobiera się, w kolorze sukni lub też białym, bufy zostawia przejrzyste lub podkłada ciemniejsze, pod które można użyć także czarny aksamit.

N. 35. Ubranie młodéj panienki. Suknia z białego muślinu, oszyta fałdowanym wolantem, zakończonym bufą. Na wierzch tunika jedwabna lub z muślinu kolorowego z wyciętym staniczkiem bez rękawków, dopełnionym p o d szyję szmizetką z buf i plisek, przepiętéj wstążką i kokardami. Do staniczka jedwabnego wszyte króciutkie z wolantu złożone rękawki. Tunika zakończona frendzlą i obszyciem jedwabnem.

N. 36. Suknia jedwabna z riuszą i szalowemi szarfami z jedwabnéj gazy takiegoż koloru. Gładka jedwabna suknia ze stanikiem pod szyję przybranym gazą, jest pełna eleganckiego niewymuszonego wdzięku. Szarfy są z kawałka gazy 50 cent. szerokiego, przefałdowanego i związanego z tyłu w okazałą kokardę.

N. 37. Ubranie z garnirowaną spódnicą i tuniką w paski. Szeroki wolant z irlandzkiéj koronki stanowi główną ozdobę sukni jedwabnéj, po nad nim dana frendzla jedwabna w kolorze ciemniejszym od sukni i szerokie białe plisy, z kolorową wypustką. Takież plisy i oszycie przystraja tunikę bufowaną podpiętą szarfami i kwiatem.

N. 38. Kostium z rozcinaną tuniką i krótkim kaftanikiem. Z kaszmiru lub sukna odrobiona suknia ma spódnicę gładką, a kaftanik i tunikę naszytą skosem futrzanym i atłasowemi rulonikami. Do strojniejszego kostiumu dodaje się na spódnicy kilka plis lub skosów odpowiednich do przybrania tuniki lub też jeden wolant ze stosownem zakończeniem. Trójkątna chusteczka z koronkowego tiulu, podpięta z tyłu aksamitną kokardą, stanowi modne dopełnienie domowego, a nawet i wizytowego ubrania.

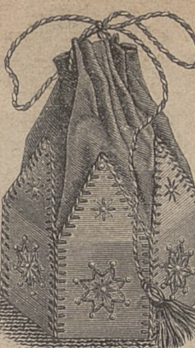


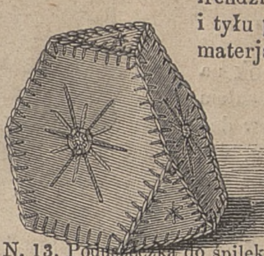
N. 24. Deseń na pantofle, ścieg krzyżowy.

N. 39. Kostium „Sennora" z tuniką i stanikiem z karoczkiem. Suknia z atłasu wełnianego koloru śliwek przybrana jest tym samym materjałem, lecz w jaśniejszym cieniu. Wolant podszyty sztywnym muślinem zakończony frendzlą, 17 cent. szeroki, ułożony jest w 3 i pół cent. szerokie kontrafałdy, w odległości na 7 i pół centymetrów. Plisy 4 i pół cent. szerokie, z fałdowaną główką 3 i pół cent. wysoką, dopełniają przybrania spódnicy. Z boków, gdzie garnirunek podniesiony jest w zęby, każda z plis podpięta jest kokardą z materjału sukni.

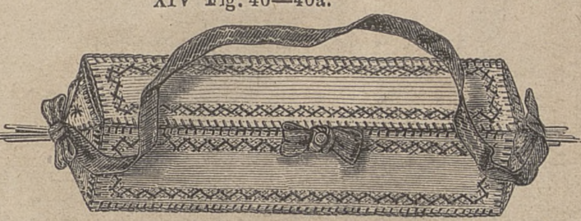
Szerokie rękawy, których wzór podaliśmy w N. 48 Tyg. M: na rycinie 19, przybrane są odpowiednio do sukni 7 cent. szerokiem naszyciem z plis i 6 i pół cent. szerokim wolantem. Stanik i tunika, oprócz oszycia z plisy z nagłówkiem, zakończone są jeszcze wełnianą frendzlą koloru sukni. Tunika otwarta z przodu, z boków i tyłu podniesiona składa się z poprzecznego kawałka materjału 240 cent. długiego, 70 cent. w środku, a 61 cent. na bokach szerokiego. Karoczek i epolety są również ozdobione plisą i frendzlą 3 i pół cent. szeroką.

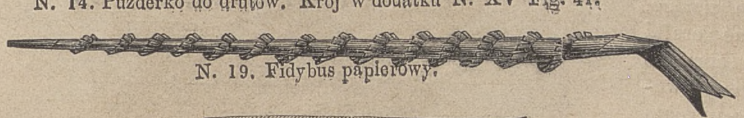

N. 11. Wewnętrzne urządzenie koszyczka ryc. 15.

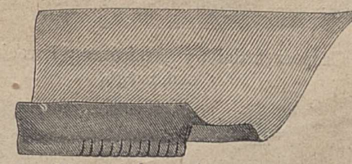

N. 12. Woreczek z dnem tekturowem. Krój w dod. N. XIV Fig. 40—40a.

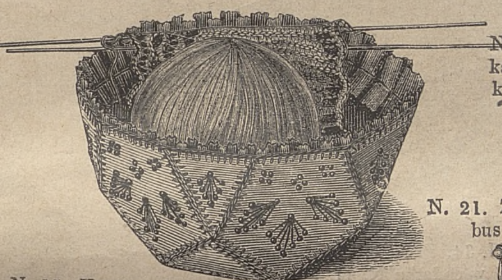

N. 13. Poduszeczka do szpilek Krój N. XI Fig. 34.


N. 18. Kubek do fidybusów.

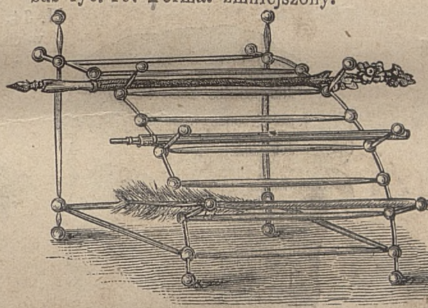

N. 14. Puzderko do drutów. Krój w dodatku N. XV Fig. 41.

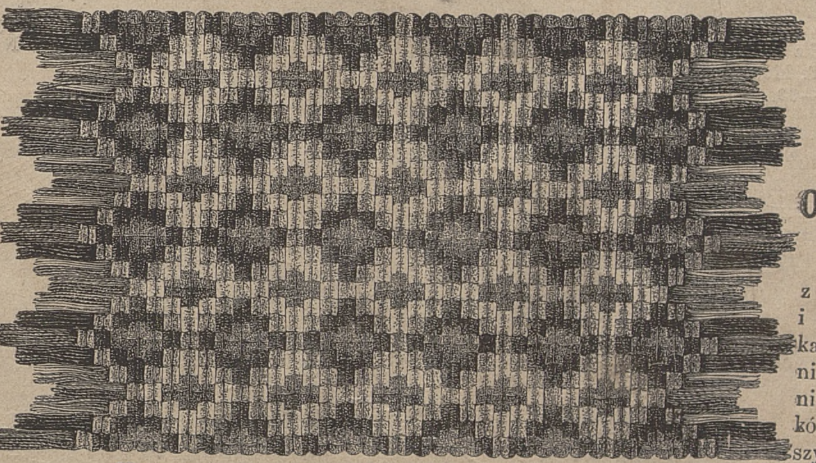

N. 19. Fidybus papierowy.

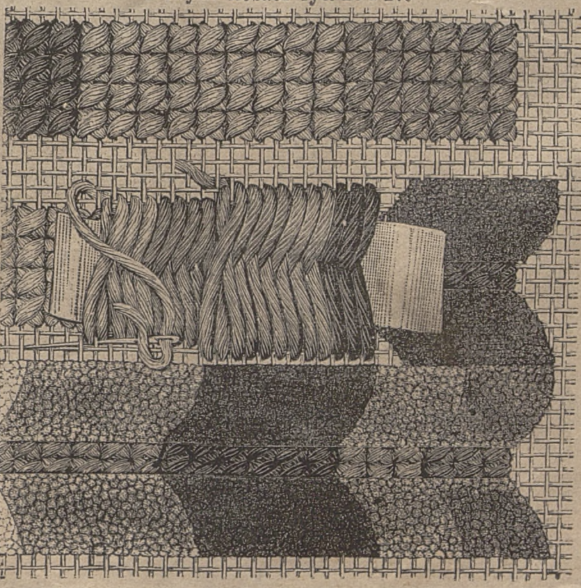

N. 20. Urządzenie papierowego paska do fidybusów ryc. 19. Wielkość właściwa.


N. 15. Koszyczek tekturowy do kłębka. Zobacz wewnętrzne urządzenie N. 16. Krój N. XII Fig. 35—37.


N. 21. Zwijanie paska papierowego na fidybus ryc. 19. Format zmniejszony.


N. 22. Postument do piór i ołówków.

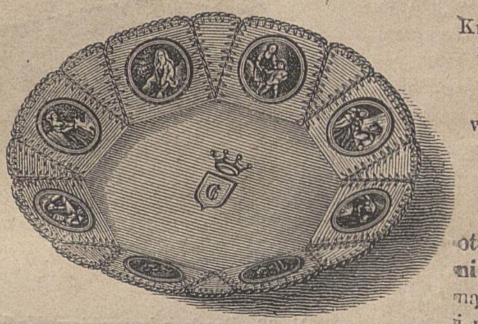

N. 25. Dywanik robiony włóczką kastorową, ściegiem pluszowym. Zobacz ryc. 26 i 27.


N. 26. Sposób wykonania ściegu pluszowego do dywanika ryc. 25.

N. 40. Kostjum „Barbarossa". Tunika przy téj sukni ma 97 centy. długości z przodu, 138 centy. z tyłu i 300 cent. dolnego obwodu. Z przodu trochę zwężony karoczek kraje się z jednego kawałka, podszywa muślinem, fałduje i wszywa w pasek. Wolant s k o ś n y przy spódnicy ma 32 cent. szerokości, u dołu wycięty w pół okrągłe zęby. Przytwierdza go skośna plisa 6 centy. szeroka, z główką 2 cent. szeroką.


N. 23. Kubek do cygar z szyszek odłowych i haftowanym szlakiem.

Krój N. XVI Fig. 42. Deseń na szlak ryc. 34 w N. 51 Tygodnika Mód.


N. 17. Koszyczek płaski do szpilek lub pieczątek gumowych. — Krój N. XIII Fig. 38 i 39.

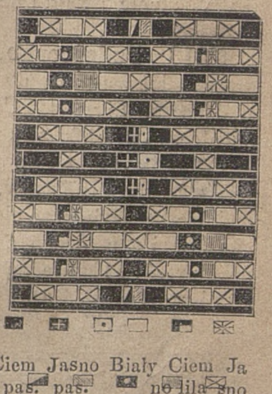
wyszyt[illegible] sutaszem, zakończona z obu stron 1 cent. szeroką podwójną pliską. Takaż pliska otacza zęby wolantu. Tunika przybrana wyszywaną pliską z nagłówkiem i popielatą frendzlą koloru sukni, podpinana u góry poniżéj karoczka. Przód stanika ze stojącym kołnierzykiem przybrany wyszyciem z sutaszu, rękawy zaś przystrojone kokardami, wyszyciem i frendzlą.

N. 41. Ubranie zimowe. Spódnica zupełnie gładka aksamitna. Kaftanik aksamitny podbity i obłożony futrem.

N. 46. Bluza do malowania z szarego płótna, przybrana wyszywanemi plisami białemi. Bluza ta może być odszyta podług formy płaszczyka od deszczu. Przybranie stanowią perkalowe białe haftowane lub w rzucik plisy, przystębnowane czarnemi skosami.

Opis do N. 50.

N. 1. Suknia z gładką tuniką i szerokiemi rękawami. Długa niepodpinana tunika trochę z boków podcięta, oszyta jest plisą aksamitną, frendzlą jedwabną i riuszą z tego co sukna materjału, przód równie jak stanik zapięty na guziczki, przy których na obiedwie strony dana plisa aksamitna i riusza. Kołnierz może być z przodu równie jak z tyłu wycięty, we dwa zęby lub też śpiczasto zakończony. Rysunki 32 i 33 podają wzory paska z karoczkiem. Stanik kraje się razem z tiuniką podług formy „Vêtement" podanéj w bieżącym kwartale. Model odrobiony był z tkaniny wełnianéj koloru srebrno popielatego, a plisy i kołnierz z aksamitu lila w paski. Jeżeli od sukni téj odejmujemy tiunikę, mieć będziemy bardzo strojne ubranie na rano.



N. 27. Wskazówka kolorów do dywanika ryc. 25 i 26.

N. 2. Suknia z wązkiemi rękawami i tiuniką podpinaną. Z gładkiéj lecz ciężkiéj materji jedwabnéj lub wełnianéj, odrobiona suknia jest bez żadnego garniruku.

Na gładkich rękawach u góry ułożone dwie bufki, zakończone wolantem, przy ręku naszyte trzema pliskami, jedna na drugą zachodzącemi. Kokardy przy pasku, tunice i rękawach, są z pięknej rypsowej wstążki.

N. 3—11. Opisy w dodatku.



N. 28. Kołnierzyk i mankiety webowe z haftowanemi medaljonami. Zobacz ryc. 29.

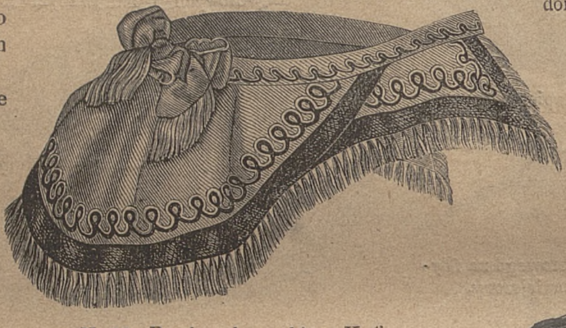
N. 12. Woreczek na drobiazgi z postumentem tekturowym. Krój w dodatku N. XIV. Fig. 40. Połowa dna z jedną boczną ścianą.

Rysunek zmniejszony całego dna wraz z bocznemi ścianami. Postument woreczka do schowania robótki lub innych drobiazgów, przykroić z tektury koloru lila; gwiazdy wyszyć jedwabiem zielonym z dodaniem obwódki białej, uważając ażeby ściegi białe trafiać w te same dziurki co zielone. Na końcach promieni i w środku gwiazd, dodać perełki złote; brzegi odziergać kolorem zielonym i obrzucić białym, przyczem połączyć boki. Nakoniec uszyć woreczek z zielonej materji odpowiedniej do postumentu wielkości, u góry podszyć pliską i nawlec sznureczek biały z zielonem, u dołu przykleić do postumentu i krytym ściegiem przyczepić na nim trójkąty.

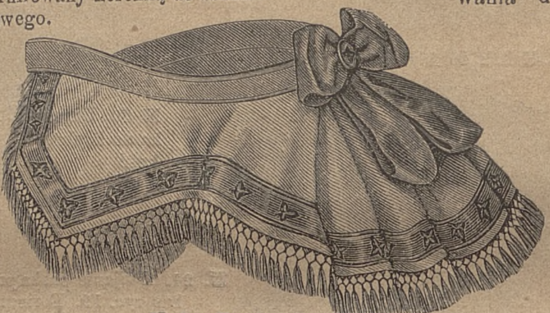


N. 32. Czepeczek tiulowy garnirowany koronką do ubrania domowego.

Wszystkie powyżej opisane przedmioty z tektury, podajemy głównie w myśli przysłużenia się młodym panienkom, które pragnęłyby osobom z rodziny lub przyjaciołkom, przysłużyć się na nowy rok upominkami, będącemi pracą rąk własnych. Wykonanie wszystkich tych drobnostek jest łatwe i wcale nie kosztowne, a wymaga jedynie uwagi i akuratności.



N. 33. Pasek z karoczkiem. Krój w dodatku N. II Fig. 13.



N. 34. Pasek z karoczkiem. Krój w dodatku N. II. Fig. 11 i 12.



N. 35. Rękaw z mankietem. Krój N. II Fig. 10.



N. 37. Bluzka marynarska dla chłopczyka. Zob. plecy ryc. 36 w N. 51 T. Mód. Krój w dod. N. X F. 30—33.



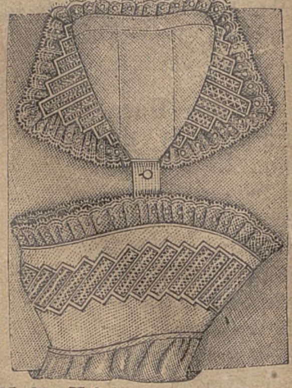
N. 38. Pelerynka z krepy jedwabnej. Zob. plecy N. 4 w N. 51 T. M.



N. 36. Rękaw z wolantem.

N. 13. Pudełeczko, lub poduszeczka kieszonkowa do śpilek. Krój w dodatku. Fig. 34. Czwarta część pudełeczka (sześciokąt z trójkątem).

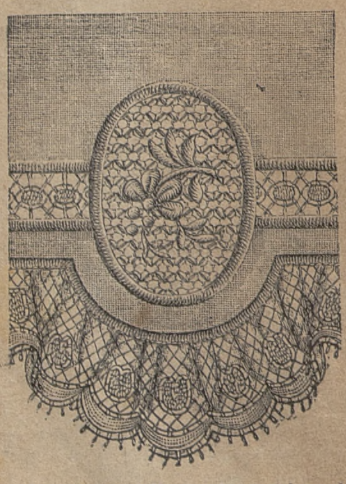
Cztery wykrojone z tektury sześciokąty i tyleż trójkątów, potrzeba na pudełeczko podręczne do śpilek, guziczków i t. p. Jeden z sześciokątów przyszyty tylko jedną stroną, stanowi przykrycie. Każdy kawałek tektury wykleja się wewnątrz kolorową bibułką, a zewnątrz pokrywa materją na której wyszyta jest gwiazdka jedwabiem czarnym i żółtym. Brzegi odziergać jedwabiem czarnym i spoić następnie żółtym. Jeden taki zmniejszony sześciokąt tekturowy cokolwiek watą owinięty, pokryty na obie strony mozajką z kawałeczków różno kolorowej materji, stanowi kieszonkową poduszeczkę do śpilek. Na ten cel małe różno kolorowe kawałki materji stosownie dobrane, i jak najdokładniej dopasowane, zeszywa się z lewej strony, a potem ściegiem krytym, dwie sześciokątne mozajki oszywa na tekturze. W koło brzegów wsadza się śpilki, których główki stanowią niejako przystrojenie.



N. 30. Kołnierzyk i mankiety płócienne ze wstawkami koronkowemi. Zobacz ryc. 31.

N. 14. Puzderko do drutów. Krój ściany poprzecznej Fig. 41. Cztery podłużne ściany puzderka z kolorowej tektury mają po 20 c. długości, 6 c. szerokości. Śpiczaste rogi ścian poprzecznych ściąć prosto do pół cent. szerokości, ażeby pozostał otwór do wyjmowania drutów. Jak poprzednie robótki z tektury tak i puzderko przyozdabia się wyszyciem czarnem i paljowem, odziergujе i łączy drobnym ściegiem, jedna ściana podłużna przyszyta tylko z jednej strony, stanowi wieczko zapinane na pentelkę i guzik brązowy. Ucho i kokardy dodane ze wstążki czarnej, wyszytej jedwabiem palja.

Dalszy ciąg opisu N. 50 nastąpi w dodatku N. 51 Tyg. Mód.



N. 29. Medaljon tiulowy z koronką, do przyozdobienia kołnierzyka i rękawków ryc. 28.



N. 39. Stanik z karoczkiem, bawetem i podłużnym wycięciem. Plecy do ryciny 3. w N. 51 Tyg. Mód.



N. 31. Próbka szlaku ze wstawek i koronki do kołnierzyka ryc. 30.